

# PARADA



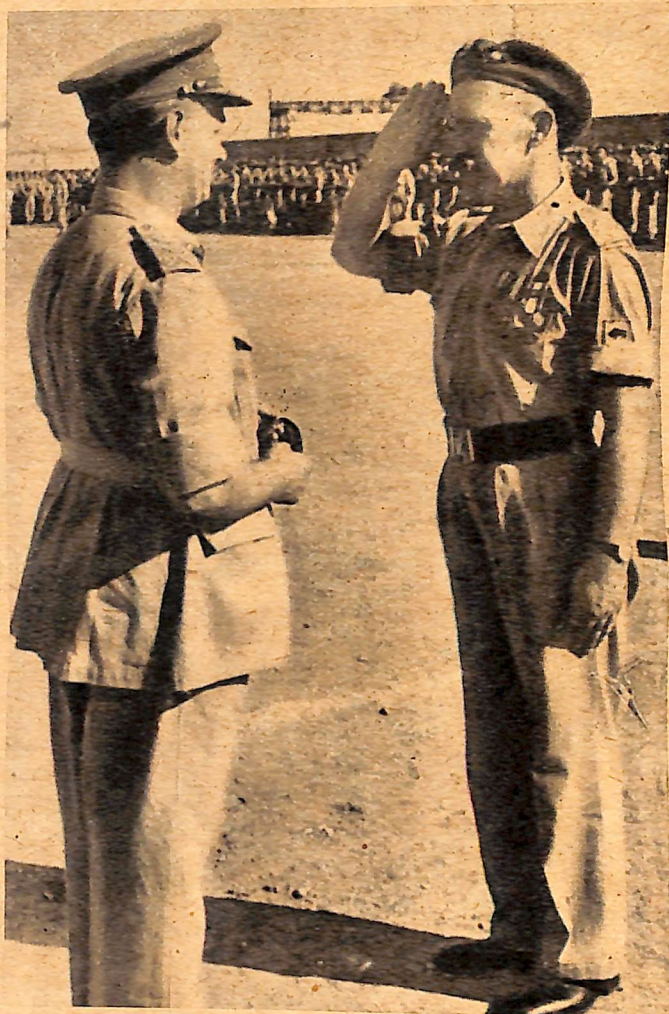
ROK III

NIEDZIELA, 21 PAŹDZIERNIKA 1945 R.  
SUNDAY, OCTOBER 21, 1945

Nr 22 (66)

CENA EGZEMPLARZA: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 tils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 9 d., w Afryce Wsch. 6 d.,  
we Włoszech 12 lirów, we Francji 5 fr., w Niemczech 1 Mrk

# CZTERY LATA DYWIZJI KRESOWEJ



Pierwsze zdjęcie od lewej — Dowódca 2 Korpusu Gen. Dyw. Wł. Anders dekoruje orderem Virtuti Militari żołnierzy Kresowej; drugie — Brygadier Frith, szef Brytyjskiej Misji Łącznikowej, dekoruje Gen. Bryg. Sulika orderem „British Empire” (CBE); trzecie — sztandar Kresowej



Wzdłuż włoskiej szesnastki wielu legło żołnierzy polskich. Groby nasze są niemal na każdym cmentarzu i znaczą zwycięski pochód 2 Korpusu, pochód, w którym „Zubry” mają swój mocny i niezaprzeczony udział. Teraz, w asfalcie tej samej szosy bije ich krok — żołnierzy 5 Kresowej Dywizji Piechoty. Krok jest mocny, jak uderzenie cepem, i zgodny w skłonie głów, pochyle karabinów, w wymachu nóg, grzechotach. Defilują przed Dowódcą Korpusu i Dowódcą Dywizji. Z gęstego szpaleru mundurów, przetykanego kwiatami barwnych sukienek, zrywają się oklaski, miłkną i znów się podrywają — jak stadko kuropatw. Tuż obok jest morze, zagłuszone tą defiladą Kresowej dywizji, która z Tatiszczewa nad Adriatyk przyszła.

Daleka i nie łatwa to droga, ale — jak powiedział dowódca Kresowej generał Sulik — „prosta”. „Droga honoru, z której nie zboczymy”.

15 września tego roku zastał Dywizję Kresową w San Benedetto i z tym miasteczkiem nadmorskim związał się obchód czwartej rocznicy istnienia tej wielkiej jednostki, która dzisiaj skupia już żołnierzy ze wszystkich kresowych ziem polskich, wschodnich i zachodnich.

W Rosji, na stepach nadwołżańskich utworzona została 5 Dywizja we wrześniu 1941 roku. Stamtąd, przez mrozy, nadtropikalne upały i epidemie przedarła się Dywizja, przedarła się — wola żołnierzy i dowódców. Zostawiła na swej drodze tysiące grobów i same zwycięstwa — w Apeninach i nad Adriatykiem, od Tatiszczewa po Bolonię, nie zostawiając i nie gubiąc najsilniejszej więzi: umiłowania wolności i wiary w słuszość i zwycięstwo ostateczne naszej sprawy.

Wyrazem tej wiary, tego wspólnego żołnierskiego ducha, było przemówienie Dowódcy Korpusu generała Wł. Andersa, który oświadczył między innymi: „Wierzymy, że nie ma prawdziwego pokoju, dopóki nasza sprawa, dla której właśnie Dywizja Kresowa przelała tyle krwi, nie będzie załatwiona. Wierzymy, że jako „Mała Polska” wrócimy do Kraju z naszymi sztandarami, armatami i czolgami”.

W tragicznej poniewierce powstała Dywizja Kresowa — dzisiaj jest siłą, zebraną w pięści siłą. Nad tą samą szosą, z której wygniotła Niemców, przysiadła teraz — zaczajona w sobie i ufna — czeka. Siła Kresowej.

Scena z dożynek — na święcie Kresowej

## JAK ŻYJĄ POLACY W OSIEDLU TENGERU?

Od specjalnych wysłanników „PARADY”

Tekst: A. W. PARSONS

Zdjęcia: inż. W. OSTROWSKI



Wielkie ognisko obozowe, które jeszcze pół godziny temu strzelało wysokim płomieniem, dogasa. Na trawie siedzi człowiek opowiadający coś wolno, bardzo wyraźnie a wkoło niego dziewczęta i chłopcy w harcerskich mundurkach. Dziecinne twarze w blasku żarzących się głowni są skupione, zasłuchane w opowiadanie por. Ostrowskiego o walkach 2 Korpusu we Włoszech.

Ci harcerze i harcerki, zastępowi i drużynowi są przecież dziećmi żołnierzy, którzy walczyli pod Cassino, Anconą, Imolą i Bolonią.

Kiedy widziałem ich zachwyt z jakim słuchały o czynach swoich ojców, przyszło mi na myśl, że na pewno ci ojcowie są równie ciekawi wszystkiego, co dotyczy życia ich rodzin w osiedlu Tengeru w Tanganjce. Dlatego postaram się opowiedzieć to, co widziałem podczas 4 dni mojego wśród nich pobytu.

Wyobraźcie sobie falistą, silnie zadrzewioną okolicę, poprzecinaną tu i ówdzie małymi, rwącymi strumieniami. Pola kukurydzy i działki obsadzone kapustą rozciągają się do kolan. Miejsca niezdatne pod uprawę bujnie porasta trawa i dzikie zarośla chwastów.

Na tle tego krajobrazu widać grupy małych domków, okrągłych (o średnicy 14 stóp wewnątrz) i prostokątnych, wszystkie bielone, pokryte strzechą. Przed każdym domkiem widać ogródek warzywny, a częściej kwiatowy, rozkwitający purpurowymi i złotymi kannaми. Klimat przypomina maj w Europie. W najgorętszym okresie tzn. w grudniu i w lutym temperatura sięga 90 stopni Farenheita.

Spotkałem się z określeniem, że Tengeru to — polski obóz. Oczywiście nie w znaczeniu wojskowym. Jest to raczej duża wieś, której zabudowania oglądane na mapie mają kształt półkola. Osiedle wraz z gruntami uprawnymi zajmuje ponad 1000 akrów. Powstało w roku 1942, kiedy nagle rozszalała się we Wschodniej Afryce wieść, że tysiące Polaków, przeważnie kobiet i dzieci przybędzie z Iranu. W krótkim czasie i przy dużych trudnościach spowodowanych brakiem bu-

dulca, powstać musiały domki osiedla. Zbudowano je z drzewa i z gliny, pokryto strzechami palmowymi. Oczywiście trzeba stale czuwać nad utrzymaniem ścian i dachu w porządku — podlepać, wzmacniać i łątać. Zajmuje się tym specjalna komisja mieszkaniowa w osiedlu. Nowsze domki — prostokątne, mają kamienne podłogi, trzy okna zamiast jednego i małe ganeczki.

Wnętrza mieszkań są na ogół bardzo schludnie urządzone, przestrzeń umiejętnie wykorzystana, białe ściany ozdobione kolorowymi robótkami ręcznymi.

Umeblowania i wyposażenia domu począwszy od łóżek, pościeli, moskiterów, aż do lamp naftowych, nakryć stołowych, naczyń kuchennych, czy żelazek dostarczają bezpłatnie magazyny osiedla. Posiłki gotuje się we wspólnych kuchniach (jedna na dziesięć rodzin). Codzienna racja żywnościowa dla dorosłego wygląda następująco: 2 uncje (uncja równa 28,35 grama) fasoli, 1 — masła, pół uncji kawy albo herbaty, 2 tłuszczu lub oleju, 4 owoców, 6 mąki, 8 kartofli, 8 mięsa, 6 jarzyn, 1 miodu, 2 cukru, jedna trzecia pint (1 pint równy jednej ósmej galona) mleka. Prócz tego — sól, pieprz, nafta i mydło. Dzieci poniżej lat sześciu dostają ponadto półtora pint mleka i 1 jajko dziennie, starsze (od 6 do 16 lat) dostają 1 pint mleka i 1 uncję ryżu. Poza produktami otrzymywanymi można dokupywać inne po niskich cenach.

Pewnego razu jadłem obiad w szkole rolniczej dla dziewcząt. Składał się on z krupniku, ciemnego chleba, mięsa wołowego w smacznym sosie i smażonych kartofli. Na deser były ciastka z marmoladą i herbata. Innym razem miałem możliwość przyjrzenia się przygotowywaniu do obiadu w sierocińcu, — barszcz gotował się w dużym kotle, prócz tego było mięso i jarzyny.

Każdy dorosły mieszkaniec osiedla, nie mający żadnych innych dochodów, otrzymuje 10 szylingów miesięcznie. Dzieci poniżej 16 lat — 2,5 sh. Niezależnie od tego zasiłku, zachęca się wszystkich dorosłych do pracy w warsztatach osiedla, które dają zatrudnienie 1.100 mieszkańcom. W tej liczbie jest 234 osób pracu-

jących na roli. Mają oni do pomocy 600 murzynów, którzy wykonują cięższą pracę m. inn. orkę wołami itp. Raz w tygodniu rolnicy zbierają się pod wysoką dziką figą, aby omówić z kierownikiem farmy obozowej sprawy bieżące.

Farma posiada 300 sztuk bydła. Produkcja mleka wynosząca około 70 galonów (1 galon równy 4,546 litra) dziennie, nie tylko zaspakaja potrzeby osiedla ale pozwala również na sprzedawanie mleka poza osiedlem.

Farma prowadzi hodowlę świń, produkując około 300 funtów szynki miesięcznie. Oprócz tego istnieje fabryka kiełbas.

Osiedle posiada także warsztaty: kowalski, stolarski, cegielnię, garbarnię i warsztat wyrobów skórzaných. W miejscowych stolarniach zrobiono szereg warsztatów tkackich, na których pracują dziewczęta wyrabiając maty, ręczniki, tkaniny i dywany. Hłaćciarnia wyrabia szaty liturgiczne, godła państwowe, odznaki dywizyjne, serwety itp.

Jedną trzecią mieszkańców Tengeru stanowią dzieci, to też szkoły są najważniejszym problemem osiedla. Odwiedziny w szkole działają na mnie pesząco — dziesiątki młodych oczu patrzących z krytycznym zaciekawieniem — mimo to byłem w wielu klasach szkoły powszechnej

### NASZA OKŁADKA



Polskie przędki w Afryce

Fot.: inż. W. Ostrowski

#### W numerze:

**POLSKIE OSIEDLE TENGERU —**

A. W. Parsons

**REPORTAŻ Z NORYMBERGI —**

Roman Fajans

**WSPOMNIENIA Z WALK 2 KORPUSU —**

Jan Kielewicz — Sobiestaw

Mieroszewski

**O ZAUFIANIE DO PRZYSZŁOŚCI —**

Jadwiga Czechowiczówna

#### Fotografie:

Str. 2: fot. K. Hryniewicz

Str. 3, 4 i 5: fot. inż. W. Ostrowski

Str. 5 i 6: fot. U. S. Inform. Service

Str. 7: fot. Gidal

Str. 8 i 9: fot. K. Hryniewicz

Str. 15: fot. Brit. Min. of Inform.

Str. 16 — Ochotniczka — fot. J. Michalski

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI



↑ Kucznictwo jest jednym z ulubionych sportów chłopców w osiedlu

Dziewczynka z małą ↓



i gimnazjum. Są to długie bielone izby, różniące się od zwykłych klas tym tylko, że od połowy ścian do dachu biegnie pas trzcinyowej maty. Podczas lekcji łaciny, jedna ze starszych dziewcząt przełożyła wyjątek tekstu na język angielski specjalnie dla mnie. W szkole rzemieślniczej chłopcy uczą się robić pantofle i dywany, jak wszędzie obecnie, tak i tu daje się odczuć brak dostatecznej ilości narzędzi.

Prawie 400 dzieci utraciło zarówno matki jak i ojców. Mieszkają w sierocińcu. Każdy budynek sierocińca obejmuje dwie sypialnie po 10 łóżek, przedzielone pokojem opiekunki. 80 najmłodszych ma tu swoją świetlicę — kolorowe obrazki wiszą na ścianach, na podłodze leżą białe i niebieskie poduszki zamiast krzesłek. Dzieci mają dużo zabawek — drewniane okręty, pociąg (zepsuty niestety), włóczkowe lalki i 2 domki dla lalek. Podobną świetlicę dla starszych dzieci założyła YMCA — są tu także czytelnice, w których można odrabiać lekcje.

Miła siwowłosa pani opiekuje się sierotami. Atmosfera panuje wesoła i przyjacielska, a wszyscy mówią, że sierotki są wzorem dobrego zachowania się dla wszystkich dzieci w osiedlu. Podczas mojej wizyty w sierocińcu, przyjechał tam płatnik z Moshi, aby założyć kasę

oszczędności dla wszystkich sierot. Każda książeczka oszczędnościowa została zapoczątkowana kwotą 5 funtów — darem pochodzącym z poza osiedla.

Dorośli mają także swoje świetlice kantyny. W świetlicy katolickiej dwa razy w tygodniu odbywają się wieczorki taneczne przy patefonie, jest także pianino. Podczas gdy tam byłem dziewczęta tańczyły ze sobą — chłopcy zbyt młodoczy zbyt nieśmiało aby poprosić je do tańca, siedzieli przy stolikach. Dużą ścianę ozdobiło obrazami o treści religijnej, godłami państwowymi i flagami — polską, brytyjską i amerykańską. W jednym końcu sali znajduje się scena z malowaną dekoracją wnętrza.

Ostatnio otwarto w osiedlu teatr i no na powietrzu. Tutaj w niedzielne wieczory odbywają się koncerty muzyki polskiej w wykonaniu mieszkańców osiedla. Filmy zmienia się 3 razy w tygodniu, a część dochodu jaki daje teatr idzie na cele osiedla.

Osobne świetlice mają także harcerze i harcerki. Na ścianach wiszą mapy, napisy z prawa harcerskiego, portret królowej Elżbiety w mundurze harcerskim.

Zastęp „Wilków” ma w swoim pokoju napis na ścianie: „Zastęp Wilków”



Kościół katolicki w osiedlu

Boga i Polskę, Zastęp Wilków jest dzielny, Każdy lubi harcerzy z zastępu Wilków". W rogu pokoju — symbol zastępu — duża zielona głowa wilka wycięta z tektury. Na szafie znalazły swoje miejsce indiańskie pióropusze, służące do zabawy w czerwonoskórych. Poza tym jest jeszcze gazetka ścienna, oprócz wesołych obrazków, zawiera ona także artykuły ślicznie wykaligrafowane.

Wszystkie dzieci są dobrze ubrane i odżywione. Odwiedziłem również szpitalik pięknie położony na wzgórzu, aby się zorientować jak się przedstawia stan zdrowotny osiedla. Dowiedziałem się tam, że trzy czwarte zachorowań stanowią wypadki malarii. W szpitalu leżało wówczas 68 osób, w tym trzy kobiety na oddziale położniczym (dwóch synów i jedna córka, matki i dzieci mają się dobrze). W tej liczbie 50 osób miało malarię.

Personel szpitala składa się z dyrektora i czterech lekarzy. Zwiedziłem szpital dokładnie, wszystkie sale i oddziały, zajrzałem nawet do kuchni — wszędzie panuje idealny porządek i czystość.

W odległości 9 mil znajduje się sanatorium dla chorych na płuca. Trudno sobie wyobrazić piękniej położony budynek na wzgórzu, w powodzi kwiatów i zieleni, z szerokim widokiem na lasy i busz aż po łańcuch gór na horyzoncie. Okolice jest tak zdrowa, że można tu spać bez moskitiery. Sanatorium może pomieścić 40—50 chorych ze wszystkich osiedli polskich we Wsch. Afryce. Gdy opuszczałem sanatorium, pozostało mi wspomnienie małej niebieskookiej dziewczynki wędrującej przez trawnik, ręka w rękę z niewiele większym chłopczykiem — doktor zapewnił mi, że ci mali pacjenci wkrótce zostaną zupełnie wyleczeni.

Ogromną większość mieszkańców osiedla stanowią rzymsko-katolicy, mają oni swój kościół i dwóch księży. 300 prawosławnych modli się w cerkwi, a żydzi, których jest w osiedlu 30 mają także swoją synagogę.



Uliczka w Tengeru — przypomina polską wieś

Od powstania osiedla zmarło w nim 65 osób — spoczywają oni na starannie utrzymanym cmentarzu. Na każdym grobie widnieje szary, kamienny krzyż.

Pozostaje jeszcze zagadnienie, czy ludzie w osiedlu czują się szczęśliwi?

Oczywiście żony pragną połączyć się z mężami, którzy są w wojsku — a wszyscy, z którymi rozmawiałem wyrażają tęsknotę za ojczyzną, o której marzą przez cały czas swoich długich wędrówek.

Wiele obaw łączy się z kwestią powrotu. 80 letni staruszek powiedział mi ze łzami w oczach: „Jestem już bardzo stary, ale wciąż wierzę, że jeszcze zobaczę Polskę”. Inny mężczyzna mówi: „Warunki są tu tak dobre, że w porównaniu z mieszkańcami Europy jesteśmy szczęśliwi, ale oczywiście chciałbym wrócić do mego domu i do mojej pracy”.

Starsi chłopcy wyrrywają się w świat, niektórzy narzekają na brak książek.

Najszczęśliwsze są małe dzieci. Są zbyt małe, aby dobrze pamiętać Polskę i życie sprzed wojny, wszystkie mówią, że Tengeru jest cudowne w porównaniu z innymi miejscami, które już poznały w czasie wojny. Jedna mała dziewczynka powiedziała mi, że kocha Tengeru, bo tu odnalazła swoją mamusię, ale — dodała — „najszczęśliwszy dzień przyjdzie dopiero wtedy, kiedy zobaczymy znowu naszego Tatusia”.

Roman Fajans

## Zbrodnia i kara

Korespondencja własna „Parady”

Za parę tygodni świat cały wpatrzy się w zniszczoną, rozbitą Norymbergę, w jej więzienie centralne i w jej ponury, kamienny Pałac Sprawiedliwości. Bo w tym więzieniu centralnym oczekują sądu najwięksi zbrodniarze, jakich znała historia: hitlerowscy przywódcy, ministrowie, dygnitarze partyjni, generałowie i admirałowie i gestapowscy kaci. W listopadzie, rozpocznie się przed trybunałem międzynarodowym „największy proces historii”, czyli sąd nad 24 hitlerowskimi zbrodniarzami wojennymi, których nazwiska brzmią: Goering, Hess, Ribbentrop, Ley, Rosenberg, Hans Franck, Kaltenbrunner, Frick, Streicher, marszałek von Keitel, Funk, Schacht, Krupp, admirał Doenitz, Baldur von Schirach, Sauckel, Speer, Bormann, generał Jodl, von Neurath, Seyss-Inquart, Fritzsche i admirał Roeder.

Delegacja Stanów Zjednoczonych jest już na miejscu, rozmieściła się w Pałacu Sprawiedliwości i zabrała się do pracy. Na czele jej stoi sędzia Sądu Najwyższego USA, jeden z najwybitniejszych prawników amerykańskich, Robert H. Jackson, który pełnić będzie funkcję generalnego oskarżyciela z ramienia swego kraju. Towarzyszą mu liczni wyżsi oficerowie i niżsi, w znacznej części zawodowi prawnicy, oraz cały wielki sztab ekspertów.

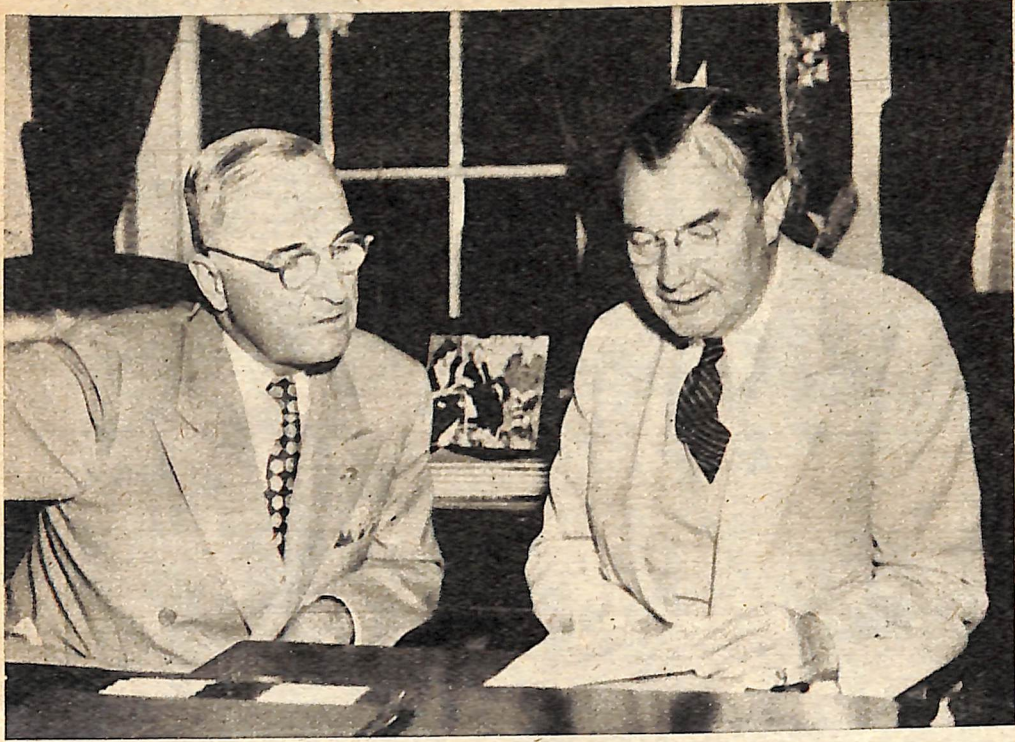
Nie należy dziwić się, że delegacja Stanów Zjednoczonych jest tą, która przed wszystkimi innymi zjawiła się w Norymberdze i rozpoczęła pracę. Norymberga leży w amerykańskiej strefie okupacyjnej, a poza tym ogromna większość hitlerowskich „grubych ryb” znajduje się w rękach Amerykanów. Owe okoliczności spowodowały, że na delegację amerykańską spadła lwią część przygotowań do procesu.

Onegdaj, na zaproszenie sędziego Jacksona, udałem się do Norymbergi, wraz z innymi korespondentami wojennymi, by wysłuchać pierwszego „exposé” prasowego prokuratora generalnego USA na temat przyszłego „monstre” procesu.

Pałac Sprawiedliwości w Norymberdze jest to ogromny, dwupiętrowy budynek z kamienia, ciężki i brzydki, typowo niemiecki. Mieści on, na parterze i na dwu piętrach, około 650 sal i pokojów. Pałac

Norymberga — miasto widmo





Prezydent Truman w rozmowie z sędzią R. M. Jacksonem — generalnym oskarżycielem ze strony amerykańskiej w procesie norymberskim

ucierpiał stosunkowo niewiele. Jedyne dach nad zachodnim skrzydłem spłonął, poza tym budynek jest nietknięty. Obecnie wrę praca nad odbudową spalanej części dachu oraz nad przystosowaniem całego wnętrza gmachu do zadań, jakie go czekają. Batalion saperów amerykańskich, 100 cywilnych robotników oraz 400 SS — jeńców wojennych, pracuje tu na trzy zmiany. Roboty są już na ukończeniu i za 2—3 tygodnie pałac będzie mógł odegrać swą historyczną rolę.

Na parterze i na pierwszym piętrze dziesiątki pokoi zajęte zostały przez delegację amerykańską. Na drzwiach wiszą tabliczki z nazwiskami oficerów amerykańskich. W tych właśnie pokojach i salach zgromadzono niezliczone tomy dokumentów, w których zawarta jest cała historia kilkunastu lat hitlerizmu.

Proces odbywać się będzie we wschodnim skrzydle pałacu. Znaczna część parteru pomieści ogromną „messę”, w której spożywać będą swe posiłki setki dziennikarzy, operatorów kinowych, fotografów, urzędników, oficerów, stenografów, stenotypistek i tłumaczy. Wyżywienie około 700 osób w mieście doszczętnie zburzonym i w którym nie ma dosłownie nic, nie należy z pewnością do rzeczy łatwych.

Większa część pierwszego piętra pałacu, zarezerwowana zostanie dla prasy, która reprezentowana będzie przez około 250 korespondentów z całego świata, operatorów kinowych i fotografów. Dla dziennikarzy stworzono specjalny obóz prasowy pod Norymbergą, trzeba im jednak zapewnić spójnie posiłki południowego na miejscu, w pałacu, by nie potrzebowali opuszczać miejsca pracy podczas przerwy obiadowej. Będą oni mieli do swej dyspozycji specjalne sale prasowe, linie telefoniczne, które połączą ich bezpośrednio ze wszystkimi wielkimi stolicami świata, telegraf, biuro pocztowe, siły pomocnicze.

Sala obrad, w której toczyć się będzie sam proces, znajduje się na drugim piętrze. Nie jest ona jeszcze zupełnie wykończona, gdyż wykonano w niej dość skomplikowane roboty przy budowie balkonu, który będzie mógł pomieścić ponad 100 osób, oraz powiększono ją wydatnie przez połączenie z sąsiednią, mniejszą salą, przy czym wybić trzeba było ścianę. Łącznie, sala obrad pomieści ponad 500 osób, lecz tylko 150 miejsc zarezerwowanych będzie dla tzw. „publiczności”. Trzeba będzie wiele dziennikarskiego sprytu, by zdobyć miejsce wśród tych 150 szczęśliwców. Wszystkie pozostałe miejsca zarezerwowane będą dla sędziów, oskarżycieli czterech narodów, dla obrońców, których przewiduje się parę dziesiątków, tłumaczy, stenografów, dziennikarzy i fotografów.

Więzienie centralne, położone w tym samym bloku budynków, co i Pałac Sprawiedliwości, połączone z nim zostało specjalnie zbudowaną krytą galerią z kamienia. Przez tę galerię oskarżeni doprowadzani będą każdorazowo z więzienia na salę obrad i odprowadzani z powrotem. Wszelki kontakt oskarżonych ze światem zewnętrznym będzie uniemożliwiony. Nawet obrońcy (Niemcy) poddani będą specjalnym rygorom. Wchodzić i wychodzić będzie im wolno tylko specjalnymi drzwiami, na drugie piętro zaś wjeżdżać będą przeznaczoną dla nich tylko windą, która zawiezie ich od razu na salę obrad, poza ławy obrońców.

Przywódcy hitlerowscy przebywają w Norymberdze w tym samym więzieniu, co zwykli przestępcy kryminalni, jednakże skoncentrowano ich w oddzielnym, specjalnie strzeżonym skrzydle. W innej części tego samego więzienia umieszczono

no liczne osoby z ich otoczenia, (w tym wiele kobiet), których zeznania stanowią będą niewątpliwie jedną z najbardziej sensacyjnych części przewodu sądowego. Poza momentami politycznymi, ta część procesu odstąpi z pewnością całą zgłizliżę, deprawację i skandaliczne kulisy życia prywatnego „bonzów” hitlerowskich.

Oskarżeni zamknięci są w indywidualnych celach, niewielkich, bardzo skromnie urządzonej. Umeblowanie takiej celi składa się z łóżka, stolika, krzesła i małej umywalki. W drzwiach każdej celi znajduje się duży, kwadratowy otwór (trudno nazwać go „judaszem”, gdyż jest zbyt wielki), przez który więźniowie są stale obserwowani. Odosobnienie oskarżonych jest niezwykle ścisłe. Jeszcze niedawno odbywali wspólnie krótkie spacerki po dziedzińcu więziennym. Obecnie i to nie jest dozwolone i więźniowie spacerują pojedynczo. W celach swych piszą i czytają. Każdy więzień ma prawo wysłać raz na tydzień list do rodziny. Listy te podlegają, oczywiście, bardzo ścisłej cenzurze wojskowej. Uwięzieni przywódcy i generałowie hitlerowscy czytają sporo. Książek dostarcza im wydział oświaty armii USA. Goering studi-

Pomnik Duerera wśród ruin Norymbergi — niegdyś stolicy hitlerowskich zjazdów partyjnych



je ostatnio z zapałem dwie książki: „Wśród lodów północy” Karla Matthias’a i „Technikę dramatu” Gustawa Freytaga. Von Papen zaczytuje się „Listami Wilhelma i Karoliny Homboldt”. Feldmarszałek Keitel czyta „Metal” K. A. Schwenzingera, a von Ribbentrop — historyczne dzieło Novalis’a „Henryk z Ofterdingen”.

Więźniów odwiedza codziennie fryzjer, Niemiec, jeniec wojenny, ten sam, który strzygł ich i golił w hotelu w Mondorf-les Bains (Luksemburg), gdzie byli więzieni początkowo. Fryzjerowi towarzyszy zawsze amerykański GI, z rkm. Fryzjerowi nie wolno zamienić z więźniami ani słowa. Nad zdrowiem oskarżonych czuwają trzej lekarze niemieccy, również jeńcy. Pozostają oni pod ścisłą kontrolą amerykańskiego lekarza wojskowego. Parę dni temu, jeden z więźniów (nazwiska podać nie wolno), dostał ataku szału, napadł na strażnika i pobił go dotkliwie. Nadbiegła straż ledwie zdołała uspokoić i o bezwładnie rozszałatego hitlerowskiego dygnitarza.

Sędzia Jackson przyjął nas w Pałacu Sprawiedliwości, w swym obszernym gabinecie, na pierwszym piętrze. Towarzyszyli mu liczni współpracownicy wojskowi, m. in. płk. J. H. Amen, pełniący funkcje sędziego śledczego i przesłuchującego, codziennie niemal, oskarżonych, płk. R. Storey, zawiadujący archiwum oraz płk. B. C. Andrus, komendant więzienia. Wśród kilkudziesięciu obecnych na sali osób, sędzia Jackson był jedynym cywilem. Jego granatowy garnitur odcinał się od jednolitego tła mundurów khaki. Sędzia Jackson robi wrażenie człowieka w pełni sił — prostego i bezpośredniego. Pracując po 12—14 godzin na dobę i dźwigając na swych barkach ciężar największego procesu wszystkich czasów, sędzia Jackson nie traci humoru, ani swej zwykłej pogody.

Sędzia Jackson rozpoczął swe exposé, podkreślając, że po raz pierwszy przemawia do prasy w Norymberdze, gdzie niedawno przybył. Następnie zwrócił uwagę na ogromne trudności wszelkiego rodzaju z jakimi związane są przygotowania do tego procesu „monstre”. Trudno np. wyobrazić sobie ile problemów nasuwa konieczność przetłumaczenia na trzy języki całych tomów dokumentów. A ponieważ językami urzędowymi przewodu sądowego będą angielski, francuski, rosyjski i... niemiecki, przeto wszystkie przemówienia, zeznania świadków, pytania obrony, deklaracje oskarżonych, mowy prokuratorów, wszystko to przetłumaczone być musi również na trzy języki

Na tym trudności nie kończą się jednak. Trzeba przestudiować niezliczone tomy dokumentów, listów, rachunków, zeznań, papierów państwowych. Trzeba sklasyfikować je i odpowiednio wykończyć. Trzeba wreszcie zorganizować ten olbrzymi proces pod względem technicznym, prawnym itd. Nie zapomnijmy bowiem, że znajdujemy się, w tym wypadku, w obliczu zupełnie „nowego” jurystycznego i że nigdy jeszcze dotychczas nie organizowano podobnych procesów. Stoimy wobec całkowitego braku precedensu w tej dziedzinie i to utrudnia ogromnie zadanie.

Sędzia Jackson zapewnił nas, że proces odbywać się będzie zupełnie jawnie i że będzie to rozprawa publiczna w najlepszym tego słowa znaczeniu. Tę pragnie i domaga się rząd Stanów Zjednoczonych. Prasie poczynione będą wszelkie ułatwienia. Sędzia Jackson zamierza zapraszać często korespondentów i ma nadzieję, że w najbliższym czasie będzie mógł pokazać im niektóre ważniejsze dokumenty, by mogli wyrobić sobie pojęcie o zasięgu oskarżenia.

Poza sędziami, którzy nie zostali jeszcze wyznaczeni, lecz których nominacji oczekiwać należy z dnia na dzień, delegacja amerykańska jest już cała w Norymberdze. Nie przybyły jednak jeszcze pozostałe delegacje i data ich przybycia nie jest wiadoma. Jest to główna przyczyna, dla której nie podobna jeszcze ściśle określić daty rozpoczęcia procesu. Chwilowo, delegacja amerykańska dokłada wszelkich starań, by proces jak najstaranniej przygotować. Trzeba redagować akt oskarżenia (amerykański — każde z czterech państw, biorących udział w trybunale, będzie oskarżał ze swej strony), wyznaczyć obrońców, powołać licznych świadków.

Lista pierwszych 24 oskarżonych ustalona została przez konferencję londyńską do spraw zbrodni wojennych, która odbyła się niedawno w stolicy Anglii. Wbrew temu, co mogłoby się nasuwać, Norymberga nie została wcale wybrana jako miejsce procesu, dla względów ideologicznych. Zdecydowały o tym wybrzeże wyłącznie motywy praktyczne, jak położenie geograficzne, względy bezpieczeństwa i, co najważniejsze, dogodność miejscowych budynków. Pierwsze inauguracyjne posiedzenie trybunału odbędzie się w Berlinie. Czy berlińskich posiedzeń będzie więcej, nie wiadomo jeszcze. W każdym razie jednak, obrady merytoryczne odbywać się będą w Norymberdze i oskarżeni nie zostaną odtransportowani stąd przed zapadnięciem wyroków.

Odpowiadając na zapytanie jednego z korespondentów, sędzia Jackson oświadczył, że proces norymberski nie wykluczy bynajmniej późniejszego ewentualnego sądenia tych samych przestępców przez trybunały odnośnych krajów, w których popełnili oni przestępstwa lokalne. Tak np. Hans Frank, po osądzeniu go Norymberdze, będzie mógł być wydany Polsce, by odpowiadać za swe zbrodnie tam popełnione. To samo dotyczy Seyss-Inquarta, z którym niemałe porachunki ma Holandia. Sędzia Jackson nie wie jeszcze, czy odnośne rządy wystąpiły już z wnioskami w tym zakresie.

W odpowiedzi na inne zapytanie, sędzia Jackson zakomunikował, że jednym z głównych punktów oskarżenia przeciw zbrodniarzom hitlerowskim (zwłaszcza członkom rządu III Rzeszy), będzie złamanie przez nich paktu Kelloga, na mocy którego Niemcy, na równi z innymi podpisującymi mocarstwami, wyrzekły się raz na zawsze wojny, jako środka regulowania sporów. Pakt ten został jednostronnie pogwałcony przez III Rzeszę.

Na zakończenie wizyty, sędzia Jackson podejmował nas śniadaniem w norymberskim „Grand Hotelu”. Poza parterem, który ocalał i gdzie mieści się obecnie luksusowa „messa” amerykańska, hotel ten, najlepszy niegdyś w Norymberdze, jest zupełnie zniszczony. Wszystkie piętra spłonęły doszczętnie, na parterze jednak wrę życie, ruch, słychać gwar ulicznych głosów i śmiechy. Służba w niemalże wszystkich frakach roznosi potrawy i wino. Nakrycie jest wspaniałe. Co za kontrast ze zwęgloną resztą tego budynku...

Podczas śniadania zamieniłem kilka słów z sędzią Jacksonem. Zapytałem go mianowicie, co sądzi o śmierci Hitlera. Przecież, mając wciąż do czynienia z najgrubszymi rybami hitlerowskimi, musi wiedzieć więcej niż inni... — Moim zdaniem — odparł sędzia Jackson — Hitler najprawdopodobniej nie żyje. Jest to jednak tylko moja osobista opinia...

Gdy odjeżdżaliśmy z Norymbergi, deszcz lał jak z cebra. Poprzez jego strumienie Pałac Sprawiedliwości wyglądał jeszcze bardziej ponuro i brzydko, niż przedtem. Gdy oddaliliśmy się pozostał za nami smutny i straszny, jak całe to miasto niegdyś tak piękne i ciekawe, a teraz starte niemal z powierzchni ziemi, martwe, widmowe...



Generał Anders dziękuje małej Marysi za kwiaty

Przed Nowym Domem Polskim w Jerozolimie, gdzie Generał Anders odbył szereg konferencji z przedstawicielami władz



## Z pobytu Generała Andersa w Palestynie

W drugiej połowie września b.r. Dowódca 2 Korpusu gen. dyw. Wł. Anders dokonał inspekcji oddziałów i służb W. P. oraz szkół wojskowych i instytucji na Środkowym Wschodzie. W poprzednim nr „Parady” zamieściliśmy garść zdjęć z pobytu Generała Andersa w Egipcie.

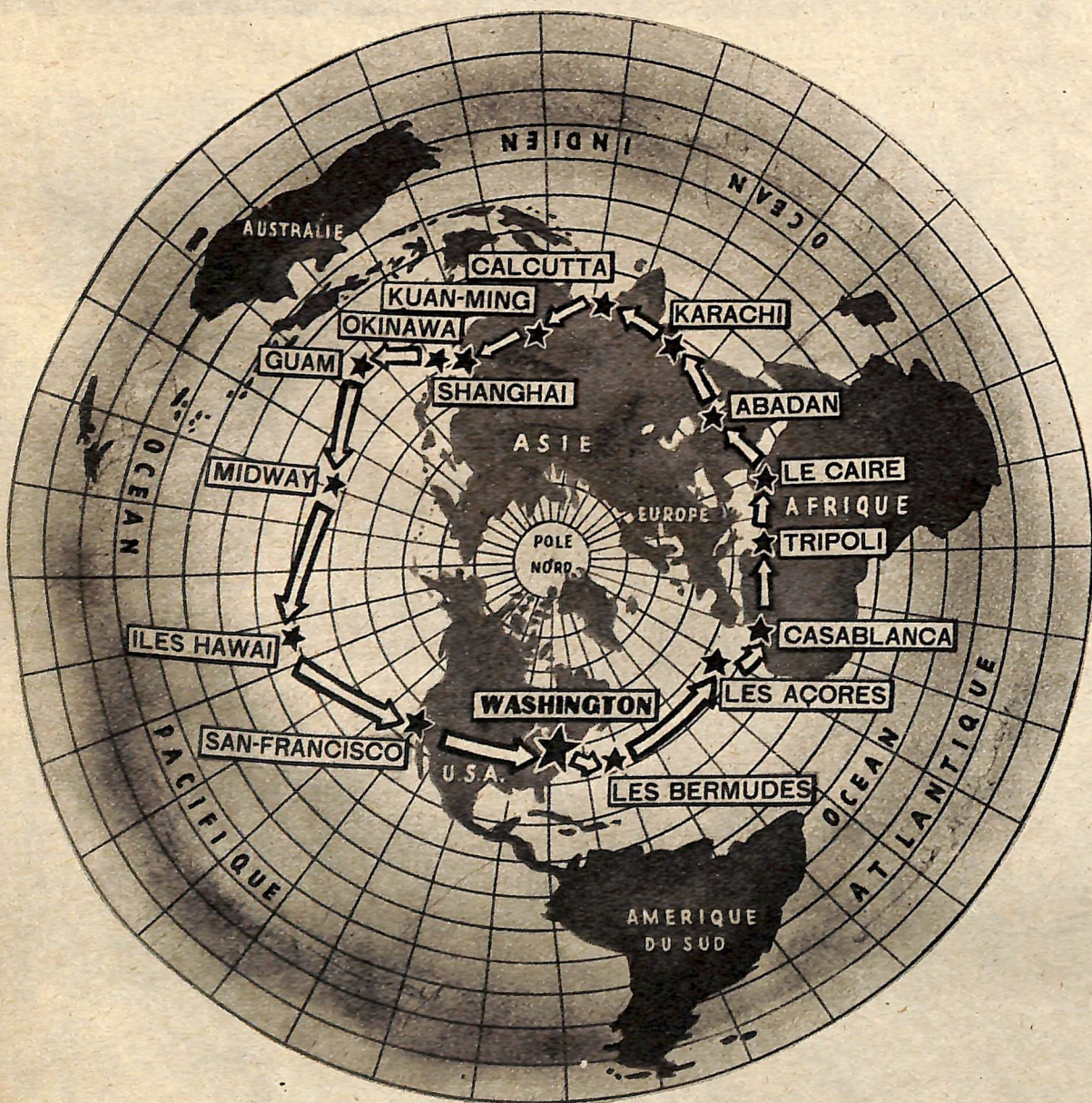
W Palestynie Dowódca 2 Korpusu w towarzystwie gen. J. Wiatra D-cy Jedn. Wojsk. na Śr. Wsch., Bryg. Frith'a szefa Brytyjskiej Misji Wojsk., oraz oficerów ze swego otoczenia odwiedził szkoły kadetkie, junackie i młodszych ochotniczek. W Jerozolimie — po serdecznym po-

witaniu w Nowym Domu Polskim — Generał Anders odbył szereg rozmów z przedstawicielami polskich władz i społeczeństwa. W przemówieniach Dowódca 2 Korpusu wyraził wiarę, że pomimo trudności jakie nas czekają, wrócimy do Polski naprawdę wolnej, w której rządzić będą Polacy i rząd reprezentujący nieskrępowaną wolę narodu.

Generał Anders podejmowany był przez Sekretarza Gen. Rządu Palestyńskiego Shaw'a, który zastępował bawiącego w Londynie Wysokiego Komisarza marszałka Lorda Gorta.



## LOT NAOKOŁO ŚWIATA



Podróż naokoło kuli ziemskiej stała się zjawiskiem powszednim. Nowoczesne lotnictwo zdystansowało fantazję Juliusza Verne'go. W miarę rozwoju techniki glob nasz kurczy się gwałtownie, zmienia się rozpiętość między czasem a przestrzenią.

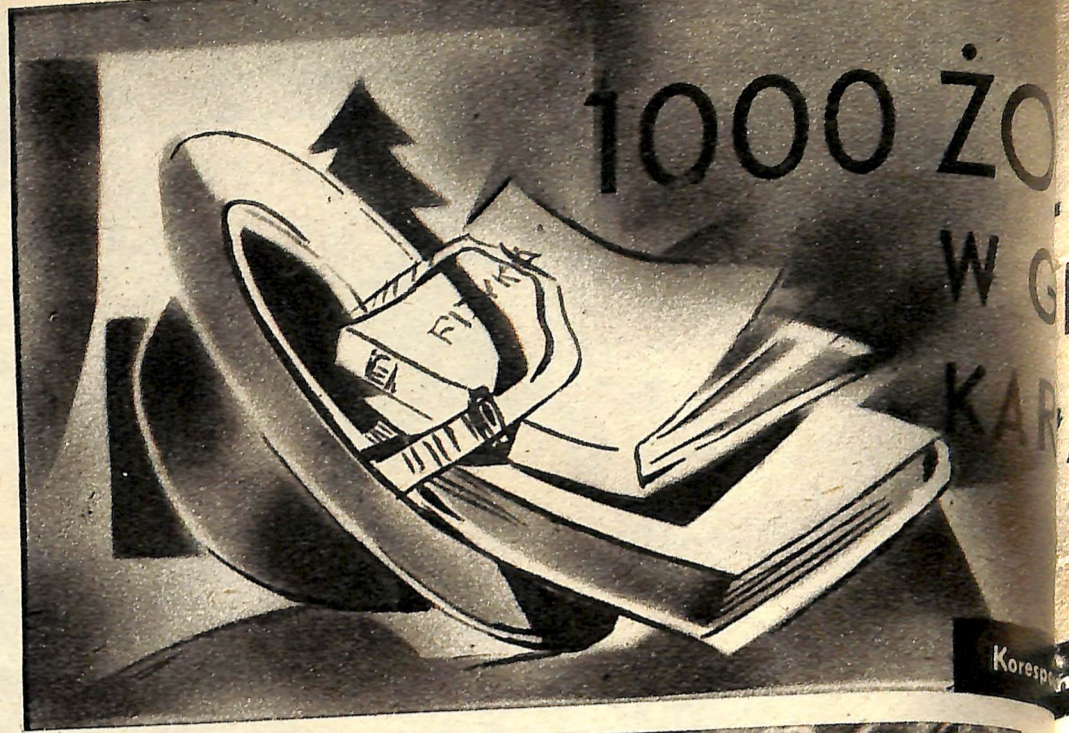
Wkrótce uruchomiona zostanie stała linia lotnicza, która zamkniętym obwodem połączy Stany Zjednoczone z różnymi punktami kuli ziemskiej. Po prostu — zwykłe loty naokoło świata, bez rekordów i nieodstępnego im hałasu. Co tydzień wystartuje z lotniska waszyngtońskiego transkontynentalny statek powietrzny, aby po niespełna siedmiu dniach (dokładnie 151 godzin) lotu, po opasaniu kuli ziemskiej, wylądować na tymże lotnisku. Trasa (widoczna na umieszczonej obok mapie): Waszyngton — Bermudy — Azory — Casablanca — Tripoli — Kair — Abadan — Karachi — Kalcuta — Kuan-Ming — Okinawa — Shanghai — Guam — Midway — Hawaje — San Francisco — Waszyngton. Krąg ten wynosi około 37.000 kilometrów.

Lot inauguracyjny odbył kilka dni temu czteromotorowy samolot typu „Sky-master” — o zmienionej nazwie „Globester”. Jest to zwykły samolot wojsk spadochronowych z przerobioną kabiną dla wygody pasażerów długodystansowych lotów. Zabrał on 6 ludzi załogi i 21 pasażerów. Ekipa nawigacyjna była zmieniana na etapach trasy, każdorazowo po 4—10 godzinach lotu. Pasażerowie — korespondenci amerykańskich agencji informacyjnych (United Press, Associated Press, International News Service), obserwatorzy z ramienia Air Transport Command i żołnierze amerykańskich sił zbrojnych przypadkowo wybrani do tego lotu.

Na lotnisku Payne Field w Kairze, gdzie „Globester” zatrzymał się na godzinę dla nabrania paliwa i zmiany załogi — zebrał się dziennikarze i wojskowi, chcący ujrzeć pierwszą maszynę i pierwszych pasażerów, odbywających lot wyjątkowy, który ma niebawem spowszednieć, znaleźć się w ramach zwykłego rozkładu „jazdy”.

Mrs. Rubb, korespondentka „Int. News Service”, jedyna kobieta odbywająca ten okrężny lot, nie okazywała żadnego zmęczenia, ale i zachwytu. Twierdzi ona, że satysfakcja tej podróży gubi się w jej szybkości. Jedyne wrażenie — to lotniska. Lotnisko na Bermudach, lotnisko na Azorach, lotnisko w Casablance... I świat cuchnący benzyną...

RE — ISTITUTO SUPER  
PARIFICATI AI RE



W czasie przerwy

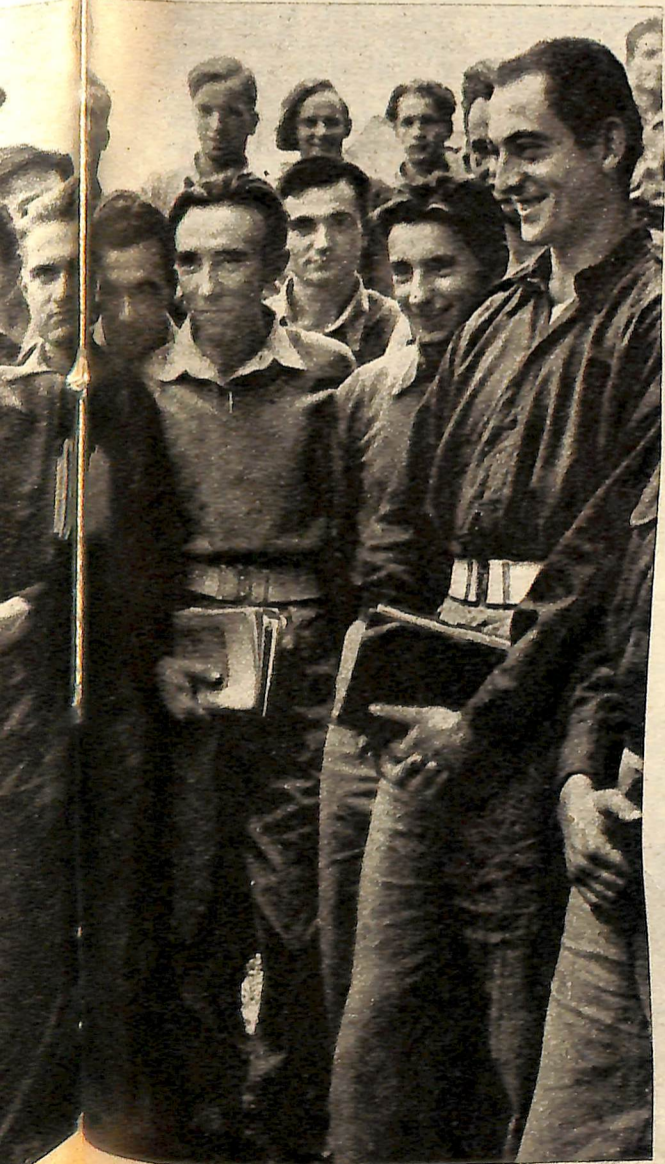


# NIERZY GIMNAZJUM KARPACKEJ

„Parady” — TADEUSZ PŃIEWSKI



Uczniowie liceum



**D**ruga licealna, przedmaturalna czyta właśnie „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego”. Umundurowany pedagog — szary sweter zasłania stopień — objaśnia, rozwijając swój wykład odpowiedziami uczniów. Na wrywki: najpierw kapral z pierwszego rzędu ławek, potem podporucznik, gdzieś z końca. W małej salce jest tłoczno, ściany obwieszane mapami Polski i wykresami, okna nawet są wypełnione sinawym zarysem Apeninów Sybillińskich.

Młodzi wiekiem, starzy doświadczeniem pielgrzymi (ogromna większość przeszła Rosję i Środkowy Wschód) w mundurach nie zwracają na mnie szczególnej uwagi, po kilku spojrznięciach przestają ich interesować. Nastrój tej klasy jest daleki od dawnej sztyby, ciągnącej „gumę”, byle bliżej do dzwonka, jest też całkiem różny od klas junackich. Wszyscy brali udział w kampanii włoskiej, tutaj, w gimnazjum Karpackiej są ochotniczo. Wygniatają ławy szkolne, świadomi po co. Teraz ten wysiłek się liczy. Wielu ma odznaczenia, Virtuti i Walecznych, ale nie chcą o tym mówić, ci żołnierze różnych szarż, jedną ławą i stopniami szkolnymi zrównani.

Wrywam się z pytaniem, kto ma Virtuti, ilu Krzyż Walecznych — zatrzymuje mnie milczenie i drwiące spojrzenia, już i wstydzę się postawionego pytania. Niezręcznie...

W pierwszej licealnej profesor wyklada o hamsinach. Nie mogę dostrzec żadnej różnicy między tą a starszą klasą. Takie same chłopaki, i tutaj także większość wędrowała przez Middle East. Dopiero w niższych klasach zmienia się ten stosunek, im bardziej w dół, tym więcej przybyło z szeregów armii niemieckiej, niezliczonymi drogami ucieczki i buntu. Rozpiętość wieku uczniów — od 16 do 27 lat, większość jednak to dziewiętnastolatki i dwudziestolenni. Zainteresowania — głównie techniczne.

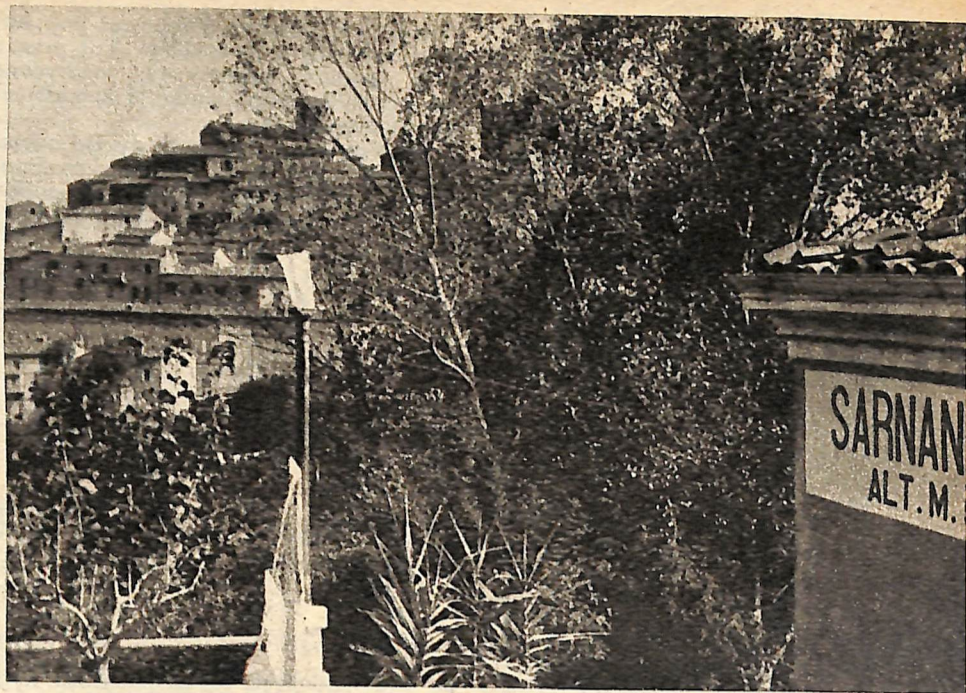
Dzwonek i przerwa! Na dziedzińcu poklasztornego budynku zbiera się gromada żołnierzy, którzy broń zostawili w oddziałach, a teraz nie rozstają się z książkami i zeszytami. Zbierają się pod modrzewiem, wysoko w niebieski dach podwórca strzelającym, część wybiega w uliczki czystutkiego miasteczka, do domu, jaki tym razem — ile razy jeszcze — przypadł im w Amandoli. Na 550-metrowym wzgórzu, stromo spadającym w dolinę wyschniętej dzisiaj Tenne.

Dwanaście oddziałów mieści się w Amandoli; druga część gimnazjum, osiem oddziałów, rozlokowana jest w pobliskim Sarnano.

**Gimnazjum!** Czytajcie z szacunkiem. Nie jest to żadne prowizorium, a szkoła całą gębą. Dziesięć oddziałów drugiej klasy, trzy trzeciej, trzy czwartej, trzy pierwszej licealnej oraz jeden drugiej, typu humanistycznego i matematyczno-fizycznego. Z języków obcych tylko angielski, wykładany przez Anglików. Rok szkolny, skrócony, trwa sześć miesięcy, biegnący zakończy się w styczniu 1946 roku. Znaczna większość uczniów, to żołnierze Karpackiej, ale są również z Kresowej, z Warszawskiej Pancerniej i jednostek pozadywizyjnych.

Czytajcie z szacunkiem o tej szkole. Nie wyczarował, nie podarował jej nikt. Wypracowana została, wyharowana trudem wielu, wysiłkiem mało przez nas Polaków zauważanym, bo codziennym i nie efektywnym. Ale jakże efektywnym! Siedząc teraz w tych polskich duchem klasach szkoły włoskiej, rozmawiając z uczniami na skarpie wzgórza, w deszcz niosących, przyjemnych podmuchach górskiego wiatru, pamiętać muszę, jak z uczniami, również z żołnierzami, tej wędrowniej szkoły Karpackiej, siedziałem kiedyś na piasku pustyni Egiptu. Kilka namiotów, bardzo mało książek i pomocy szkolnych i wiele, wiele dobrych chęci i pilności... Niby nic, a jednak pierwszy gimnazjalny kurs Karpackiej Dywizji, rozpoczęty w Palestynie (Julis), nie zatałała się na pustynnym i przejściowym postoju w Egipcie, ani na ziemi włoskiej, kiedy zimą przyszło wejść do akcji bojowej. Uczniowie byli żołnierzami, żołnierskie też były warunki pierwszych egzaminów. W marcu i kwietniu, pod Sangro, komisja egzaminacyjna jeździła na front, do brygad.

We wrześniu 1944 przerwa w akcji została wykorzystana na egzaminy z małej matury. Ze 150 kandydatów zdało tylko 27 procent, reszta padła, wystawiając mimowolnie świadectwo, że chodziło tu na prawdę o rzetelne wiadomości; a nie o „fabrykę” matur. Jedni i drudzy poszli znów na front. Korzystając z następnego wypoczynku dywizji, w połowie stycznia 1945 roku uruchomiono gimnazjum i liceum w Bagno di Ro-



Poranna gimnastyka



W rozmowie z dowódcą — dyrektorem szkoły

magna. Mimo ponownej akcji bojowej w szkole pozostało około 400 uczniów, którzy 23 czerwca br., w Terra del Sole, już po zawieszeniu broni, zakończyli rok szkolny, rozpoczęty jeszcze w pełni działań wojennych. Małą maturę zdawało 100, zdało 84, promocje otrzymało około 94 procent. Dzisiaj już tysiąc uczniów-żołnierzy kuje w Amandoli i Sarnano, obkwa się naprawdę. Żadna przedwojenna szkoła nie składała się nigdy z tylu „kowali”, co w Amandoli i Sarnano: Gimnazjum i Liceum Karpackiej.

Sarnano jest również wdzięcznym i górzystym garnizonom szkolnym, jak Amandola, a tym miłszym, że ma w swym składzie „dzieciniec” — najmłodszych, którzy bez obrazy, a z uśmiechem przyjmują tę nazwę. I tutaj także ciągle się gdzieś wchodzi i skądś schodzi, i tu również są zielone łąki, a horyzont zasłonięty jest poszarpanym masywem apenińskim. Na ulicach i zielonych zboczach Sarnano niewiele także widać gimnazjów polskich, trzeba ich szukać po kwa-

terach. Nauka własna wypełnia im niemal całe popołudnie, wolne od zajęć szkolnych. W niedziele wybierają się na przepustki, przeważnie do swych oddziałów, z którymi wiąże ich coś więcej, niż formalny przydział. Tradycja macierzystych jednostek splota się z narastającą ciągle tradycją szkoły.

Droga z Amandoli zawija się i rozwija zamasytymi obrotami. Łazik nasz zgrabnie odrabia ten taniec białej szosy. Kilkadziesiąt mil górzystej jazdy bez drogowskazów, obok napęczniałych gronami winorośli, przez wczepione w szczyty miasteczka, pełne jakiejś starej historii, dolina, którą wkrótce rwąca rzeka popłynie — kilkadziesiąt mil dzieli szkołę Karpackiej od „świata szesnastki”.

Za górami, za dolinami uczy się tysiąc żołnierzy. Niedługo spadnie w te miejsca zima i w Amandoli, i w Sarnano będzie biało, bardzo biało. Tym zieleńsza stanie się choinka, radość młodych i znak Karpackiej.

Znak tej szkoły.

Silny był jak żaden z nas. Atletyczny, wysportowany, z rozrostłymi barami i potężną klatką piersiową. Budową nie ustępował zawodowym zapaśnikom: muskuły rąk, piersi, bark wiązały się u niego w żelazny splot. Gdy napinał bicepsy, sprężone mięśnie zdawały się rozsadać skórę.

Wstawał co dzień przed pobudką. Pół-

miętko, bez chrzęstu ustępował pod butami, okutymi workiem. Tuż przede mną, poprzez ciemności przesycone mlecznymi oparami, majaczył kamuflażowy płaszcz Trojana.

Pierwszy nasz patrol bojowy. Do miejsca, gdzie przed kilku godzinami rozegrała się zacięta walka. Możliwość spotkania patroli niemieckich z Alto i Scontro-

Miałem ułatwione zadanie: przerzuciłem manatki z wozu na karier i poszedłem odszukać Trojana. Dostrzegłem go niebawem za gęstwą rozrzuconych drzew.

Podchodziłem, ważąc w myśli niespodziankę, jaką mu sprawię.

— !!! — uderzył mnie nagle przerażony, zduszony krzyk.

Zanim krzyk dotarł do mojej świadomości, zanim zdobyłem się na jakikolwiek odruch — było po wypadku.

Trojan biegł za czymś toczącym się po ziemi, z czego jak z fajki snuła się smużka dymu. W chwili, gdy nachylił się po ów dymiący przedmiot — nastąpił wybuch. W błysku ognia i dymie Trojan zachwiał się, zatoczył, padł na wznak.

Śmiertelna bladeść, oczy w słup, strzępy ubrania, kości nóg sterczące przez poszarpaną skórę i krew, krew... Z przebitej tętnicy biła struga uchodzącego życia. Biła gwałtownym łukiem... Kłęcząc obok bezradny, oniemiały, niezdolny do ratunku. Struchlałem na widok krwi, a przecież w życiu widziałem jej bez miary. Tak, ale to przecież był Trojan...

Nadbiegli żołnierze i ci usunęli mnie bezceremonialnie. Rozejrzałem się wokół: siedmiu rannych leżało w różnych pozach. Tu i ówdzie uwijali się lekarze i sanitariusze. Przybył wóz sanitarny.

Okazało się, że Trojanowi z czyszczonego granatu wysunęła się dźwignia. Granat wypadł mu z ręki i, z dymiącym zapalnikiem, potoczył się w stronę siedzących nieopodal żołnierzy. Trojan krzyknął ostrzegawczo. Nie upadł — biegł za granatem, aby go odrzucić. Nie zdążył, ale sobą okupił innych. Zagarnął w siebie dwie trzecie odłamków.

Chowaliśmy go godzinę później. W pośpiechu i rozgardiaszu, spowodowanymi pogotowiem marszowym. Spoczął na angielskim cmentarzu w pobliżu San Vito. Ze skrzynki wystrugałem mu krzyżyk, ołówkiem wykaliografowałem napis. U stóp mogiły, za uskokami terenu, przewalał się obojętny i groźny jak zawsze — Adriatyk.

Pogrzeb wydał mi się wielkim nieporozumieniem. Byłem przeświadczony, że Trojan gdzieś się oddalił, że wróci..., że grudy ziemi, które padały na tłumok zawinięty w koc — to okrutne kłamstwo... Czekałem. Snułem się po rejonie, po namiotach, między karierami...

Dwa dni później, już na nowym miejscu postoju, przybył ze wszystkimi manatkami jego brat. Radosny, podniecony. Był to młody chłopaczek, żywiący do Stefana już nie braterską, a synowską miłość. Nie rozstawali się od dzieciństwa. Razem odbyli przedłużoną drogę spod Nowogródka do Kołasu i Pahlevi. Rozdzieliło ich dopiero wojsko. Tadek służył w kmach; często odwiedzał brata i od dawna pragnął być z nim razem. Przeszło sześć miesięcy starał się o przeniesienie. Podanie, z powodu trwającej akcji, szło po wielorakich instancjach dość opornie. Wreszcie wczoraj odczytano mu rozkaz przyzwalający — przyjechał pierwszym autostopem.

— Gdzie Stefek?

Otoczyliśmy go kołem. Z opuszczonymi głowami, przybici, zakłopotani. Żaden nie wypuścił pary z gęby.

Ktoś mnie pchnął z tyłu.

— Idź ty... powiedz...

Podszedłem do chłopca. Spojrzałem w jego nagle spoważniałą twarzyczkę, w głąb wielkich, zdziwionych oczu.

— Stefan... Wiesz, Stefek...

Kurcz mnie schwylił za gardło... Oddaliłem się bez dalszego słowa.

— Przydzieliłem wam Trojana do pierwszej sekcji. Zajmijcie się nim, nauczcie go prowadzić karier.

Zamierzałem protestować. Cztery sekcje są w plutonie — dlaczego właśnie do mojej? Porucznik oddalił się szybko, nim zdążyłem wypowiedzieć słowo. Dostrzegłem tylko, jak idąc w stronę karskiej kukurydzy.

Zabrałem się do szkolenia nowego adepta. Wyjeżdżaliśmy codziennie w teren, daleko poza obręb kompanii. Chłopak

stosunkowo szybko opanował kierownicę, prowadził coraz śmiej i sprawniej. Podczas jazdy obserwowałem go bacznie: młodszy, szczuplejszy, delikatniejszych rysów, trochę inny, ale — Stefan. Ten sam uśmiech i głos, podobny wyraz piwnych, pocętkowanych oczu.

Chłopiec posiadał ogólne pojęcie o mechanice.

— Jak karier bierze skręty? — pytam.

— Łagodnie za pomocą płyty ekscentrycznej, ostre — przez hamowanie jednej gąsienicy.

— Kto ci mówi?

— Stefek. On mnie kiedyś uczył teorii podwozia.

— Spójrz na ten przewód! Wiesz do czego służy?

— Stefek mówił, że to od tachometra

W kółko: „Stefek to — Stefek tamto” przez cały dzień. Jakby wszystkie sprawy tego świata obracały się wokół jednego imienia. Ot, szczeniaki!

W plutonie — to samo. Co chwila wzywał któryś Trojana. Wzdrygałem się, gdy rozlegało się to nazwisko. Za każdym razem uzmysławiałem sobie, że to przecież wołają... Tadeusza.

Grzebiąc w chlebaku, odnalazłem światłomierz (Campobasso — upominek). Rzuciłem go na Tadekowe łóżko.

— Zabierz, to dla ciebie!

Chłopakowi oczy zabłyśły na widok niklowanego cacka.

— Ile pan zapłacił?

— Moja rzecz.

— No, bo ja chcę zwrócić...

— Obejdzie się! Już Stefan zapłacił...

Tegoż popołudnia udałem się do dowódcy plutonu. Zastałem go leżącego pod zwojem pofalowanej moskitiery, zapatrzonego w bambusową tykę, podtrzymującą namiot.

Zameldowałem, po co przyszedłem. Porucznik uniósł się do pozycji siedzącej.

— Co się stało? Nie słucha rozkazów?

— Nie w tym rzecz. To dobry chłopiec, posłuszny, pojętny, ale nie chcę go mieć w sekcji.

— Ależ dlaczego?

— Bo... bo przypomina mi Stefana...

— Ee... głupie gadanie...! Stary żołnierz i takie jakieś drażliwości... No dobrze, wyznaczę go do pocztu! Niech się nauczy obsługiwać radiostację.

W pośpiechu, podczas rozpoznania drogi Monte Giorgio—Macerata, część plutonu dostała się w paszczę niemieckiej zasadzki. Ze stanowisk w zbożu i z przydrożnych domków lunął ogień granatników i Spandau'ów. Kariery, obwiedzone wieńcem wybuchów, pokropiła ołowiana płwocina.

Obryzgał mózgiem kierownicę strzelec Umiński; otrzymał serię, od gardła aż po pas, kapral Pawlak; pogruchotało rekę strzelcowi Sobolowi. W jednej chwili unieruchomione zostały wozy drugiej sekcji: jeden — z zabitym kierowcą — stoczył się do rowu, drugiemu przebiło stacyjkę, trzeci — stanął w płomieniach. Kto żyw — wyskoczył i otworzył ogień. Bezdolny, ale silny, nieprzerwany ogień.

Podjechałem z sekcją na pomoc. W okamgnieniu spieszyliśmy się i zagraliśmy wszystkimi karabinami. Pobiegłem rowem przydrożnym do unieszkodliwionych wozów. Naprzeciw mnie czołgał się, zabłocony, zakrwawiony, dowódca drugiej sekcji, plutonowy Nadolny — znany szczer tobrucki. Chciałem wynieść go z ognia — nie pozwolił. Na jego zabłoconej twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

— Ja sam... Zajmij się moją sekcją... Trzymaj się!...

Przy jednym z opuszczonych wozów przykucał żołnierz z radiostacją. Na próżno usiłował zestroić się ze stacją kierowniczą. Cierpliwie, na tle jaszgotu broni maszynowej, krzyczał przez larynfofon swe beznadziejne:

— Adam, Barbara, Celina 14 — dwa... Adam, Barbara, Celina... Jak mnie słyszycie?... Jak mnie słyszycie?... Nadajcie wiadomość...

— Do d.y. z twoją „Barbarą”! — huknąłem przebiegając obok. — Gadaj po nazwisku!

Skokami pobiegłem do przodu. Smagnięto mnie jak stalowym prętem:

— Jak mnie słyszycie?... Tu Trojan... tu Trojan... Trojan...

## TROJAN

nagi, w króciutkich spodenkach, wybiegał z ciasnoty namiotu w bezkres otwartej przestrzeni. Z półmroku — w słońce. Długo, odczekał oddawał się ćwiczeniom gimnastycznym. Biegał wokół namiotów, skakał wzwój i w dal, koziołkował na trapezie, podnosił ciężary, aby wreszcie — zdyszany, zadowolony — udać się do studni na poranną kąpiel.

Chłopiec promieniał młodością i zdrowiem. Z przyjemnością, choć nie bez zażenowania, spoglądałem na jego brązowy tors, na piękną linię karku i ramion.

— Chodź, spróbujmy się! — proponowałem z uśmiechem.

Nie, nie miałem zamiaru. Wymawiałem się jakąś niedyspozycją fizyczną lub brakiem... czasu.

Mechanik plutonu Bojarski, lwowski taksówkarz, cynik i batiar, klepał go często po ramieniu.

— Takich nam potrzeba, Stefcu! Silnych i głupich.

Trojana, co zresztą zgadzało się z jego podoficerskim stopniem, używano do wszelkich funkcji, służb i zajęć. Nadawał się do wszystkiego. W odwodzie był instruktorem, wykładowcą, kancelistą; w akcji — kierowcą, dowódcą wozu, dowódcą sekcji. Powinności spełniał z oddaniem, dumny, że to jego wyróżniono pracą. Jak wszyscy ludzie jego wzrostu i siły, łagodny był, opanowany, uступliwy, toż nadużywano jego prostoduszności.

Przyjaźniliśmy się od pierwszej chwili naszej znajomości. Mieszkał w jednym namiocie, łożko przy łożku. W chwilach wolnych gawędziliśmy o sprawach, bynajmniej nie związanych z żołnierskim bytowaniem. Wspólnie robiliśmy wycieczki do okolicznych domów i pobliskich miasteczek. Wabiły nas rozsypane po falistym terenie pojedyncze gospodarstwa — cywilne życie, bliskie i dalekie od wojny. Chłopi obcinający pnącza winne, baby krzątające się w obejściach, signoriny piorące żołnierską bieliznę. Nawet — długorogie, robocze krowy, przeżuwające nad pustymi korytami, ospałe psy, bardziej zastrachane niż nastawliwe, gęsi przetaczające się na krótkich nóżkach, stadka gruchających gołębi.

Trojan zdradzał różnorakie zainteresowania. Powierzchowne, naiwne, raczej dla zaspokojenia doraźnej ciekawości. Czytał dużo. Chaotycznie, co popadło do ręki. Wertował książki i gazety na swój sposób wybrednie, wybierając „fajne kawałki” — żywe, romantyczne opisy, nowości techniczne, ciekawostki. Słabością jego było fotografowanie, ilustracje, rysunki. W mahoniowej skrzyneczce, pięknie inkrustowanej arabeskami, owiniętej niezliczoną ilością szmatek, chował rosnący wciąż zbiór zdjęć. Pluton i koledzy we wszystkich możliwych wariantach. No i dziewczynki — pokaźna kolekcja pestek i Włoszek.

Z opuszczonych domów i od uprzejmych signorin przynosił książki ilustrowane i czasopisma. Przeglądał kartka za kartką i rzucał w ką. Nie rozumiał ani słowa, tym niemniej pociągają go owe stronice, zapelnione obcym pismem. Często pytał o ich treść.

— Te, Jasiu — szturchnął mnie w bok — a ten grubas za stołem, co robi?

— Gimnastykuje się po sutym obiedzie: nakręca zegarek.

Kładł się z powrotem na łożko. Po dłuższej chwili namysłu zrywał się z wybuchem hałaśliwego śmiechu.

Którejś cichej, zimowej nocy udaliśmy się na patrol do stacji kolejowej w Alfedenie. Poszliśmy po ciału pierwszego poległego we Włoszech żołnierza polskiego — strzelca Mieziela. Ciemno było, obco, niesamowicie. Prowadziły nas zerwany tor kolejowy i ledwie pochwytany poszum Sangro, nucącej przeciągłą sagą międzyapenińskich rozłogów. Śnieg

ne, bądź natknięcia się na podsłuch była aż nadto wielka. Bezszelestnie jak duchy, rozpluwając się w mroku, brnęliśmy skroś niezgłębionej nocy w żołnierskie niewiadome. Po szarzałym śniegu, kryjącym rozkiszłe błoto i, niewątpliwie, wybuchowe pułapki. Każda budka dróżnika, przepust, bezlistne drzewo — tajemnica, każdy szelest — groźba. Zamieniliśmy się w kłęby wyostrzonych zmysłów. W zgrabiałe palce wrastały granaty i uchwyty Thompson'ów.

Przebiegając przez tor potknąłem się, zwałem jak długi. Przy upadku noga dostała mi się między poderwany podkład a wygiętą szynę. Przykuł mnie do ziemi dojmujący ból w kostce. Bezradny, czekałem pomocy. Trojan, idący nieśpiesznym krokiem zwykłej przechadzki, nie oglądający się do tyłu, tym razem jakoś zauważył moją nieobecność. Podszedł i bez wysiłku zarzucił mnie sobie na plecy.

— Zanieś mnie do tyłu — szepnąłem.

— Po co? — spytał zdziwiony i... pomaszzerował ze mną w stronę stacji.

Podczas akcji pod Monte Cassino kariery przebywały w echelonie „A”. Teren i pozycyjny charakter walk wykluczyły stosowanie tego rodzaju „broni pancernej”. Pluton użyto jako mułowodnych; sześciu nas, podoficerów, wyznaczono do dyspozycji PD batalionu, z zadaniem utrzymywania łączności z kompaniami nacierającymi. Przywarliśmy w schronach nieopodal dowództwa, gotowi na każde zawołanie.

Nocą, gdy piekielny ogień zrywał wszystkie kable, gdy należało bez zwłoki doręczyć ustny lub pisemny rozkaz — biegliśmy na przemian. W gumowych pantoflach, skrycie, okrężnymi drogami, tuż pod obserwacją nieprzyjaciela — do celu. Szło nas zawsze dwóch, w przyzwyczajonej odległości: szanse odzyskania cała dwukilometrowej drogi, aż pod sam klasztor, były bardzo nikłe.

Często, gdy któryś z nas był przemęczony lub po prostu nie chciał mu się pójść, zastępował go kapral Trojan — obojętnie. Dobrowolne zgłaszanie się, poza własną kolejką, na marsz nocny, drogą pełną trupów, oświetloną rakietami, ostrzeliwaną gęsto z Nebelwerfer'ów i Spandau'ów wymagało nie lada silnej woli. Na to mógł zdobyć się tylko Trojan.

Wyszliśmy z tych walk bez szwanku. Trojan nie okazywał nawet większego przemęczenia, ale w niespełna dwa tygodnie później...

Odkomenderowano mnie do dowództwa brygady. Odrabiałem w kwaterymistrzostwie jakieś paskudztwa kancelaryjne, coś takiego, co na wieczny kryminał odkłada się do szaf — ohyde, którą szanujący się człowiek bierze do ręki tylko w chwili największej depresji. Buntowało się we mnie: lato, udzielali przepustek do Benevento, chłopcy się bisurmanili — a ja? Mnie przykuto do chromego stolika. Na rozklekotanym Underwoodzie, wszystkimi literami alfabetu wystukiwałem swoją rozpacz. Dwa tygodnie!

Szef, stary kret papierkowy, zwolnił mnie wreszcie. Zwolnił — z uczuciem ulgi. Stwierdził, że dzięki mojej pomocy co najmniej przez rok „nie będzie się mógł z rozumem połapać”. A no, tym lepiej! Bety na wóz i — do plutonu. W drodze zabłądziłem z kierowcą do Campobasso. Kupiłem kilka drobnostek i upominek dla Trojana.

Pluton zastałem w trakcie pogotowia marszowego. Zwykła zmiana m. p. przed pójściem do dalszej akcji. Gaj oliwny, w którym obozował, kąpał się w słońcu czerwcowego popołudnia. Sprzęt i oporządzenie znajdowały się już w karierach. Żołnierze, na wpół rozdżiani, gwarzyli w cieniu drzew. Rozkaz wymarszu spodziewany był w każdej chwili.

zycy przygotowują się do nocnego natarcia.

Jest już koło drugiej, kiedy milknie nagle ogień artylerii. Wychodzimy w kilku przed dom. Wiemy dobrze co oznacza ta cisza — i wiemy dobrze co dzieje się w sercach setek żołnierzy, którzy w rękach ściskają broń. A potem nagle wybuch lawina ognia miotaczy płomieni —

coś od czasu do czasu dorzuca, by nie dopuścić do ciszy, która jak jadowity wąż usiłuje wpełznąć pomiędzy nas. Wybuch nawet w kącie sztuczna kłótnia o jakiegoś wczorajszego „tysiąca”, przewrana dopiero wejściem dcy kompanii, por. Sz. Znam go jeszcze bardzo mało, ale podobają mi się jego prosto patrzące oczy i mocno zaciśnięte usta. Budzi za-

SOBIESŁAW MIEROSZEWSKI

## NAD GAIANO GODZINA „O”

Siedzimy całą kompanią w tzw. z włoska „casie” a dokładnie w jej dwóch obszernych stajniach, które tak znowu z „polska i z wiejska” złączone są z budynkiem mieszkalnym.

Około kilometra przed nami — tuż przed wałem Gaiano, zaległy czołowe kompanie baonu Żbików.

Czekamy na swój dzień „D” i godzinę „O”.

Zadanie naszej kompanii jest proste (zadania wojskowe są zawsze proste). — Po uchwyceniu przyczółka przez kompanie czołowe — „natrzeć i zepchnąć npla, tworząc z kolei nowy przyczółek na następnej rzece”.

Przed nami na horyzoncie miasteczko z różową wieżą i kolorowymi dachami domków — przesłonięte zielenią drzew, przypomina mi obrazek z mego dziecięcego pokoju.

Teren jest dobrze znany — pokrajany gęsto poprzecznymi kanałami i rowami — zadrzewiony — idealny do opóźniania.

Spodziewany opór — twarde i zdecydowane; naprzeciw nas — oddziały dywizji spadochronowej.

„Casa” wstrząsają pociski dział i moździerzy niemieckich a korzystanie ze studni wywołuje natychmiast krótkie serie Spandau, który gdzieś cierpliwie czatuje. Z konieczności życie nasze koncentruje się w stajniach i za domem. Jesteśmy w ciągłym pogotowiu — śpiemy na sianie w rymsztunku bojowym, co oczywiście wywołuje lekkie niezadowolenie u nas — starych żołnierzy.

Dzień przechodzi rozpaczliwie nudno — nie można przecież ciągle gotować jaj — polować na kury, czy też popijać kwaśnego jak ocet wina. No i gra w „tysiąca” ma też swoje granice — zresztą liry w czasie akcji mają jakąś mniejszą wartość.

Nocą — niebo nad Gaiano ożywia się krzykiem kolorowych rakiet, przyskakujących w chłodny granat nieba, pomiędzy obojętne gwiazdy. Snopy świetlnych pocisków zarcucą drgającą, czerwona sieć na wciśniętych w szczylny ziemi żołnierzy.

A potem zalega niespodziewanie cisza i wraz ze zdziwieniem wkrada się do serca. Odzywają się daleko rechatania żab i słychać bliskie odgłosy domu — domu, który układa się do snu. Wrażenie potęguje się — rozrasta — zbliża. Myślę o niej: — wysokie jasne czoło pod falą ciemnozielonych włosów, prosty, delikatny w rysunku nos i ciemnoczerwone usta, tak bardzo jeszcze dziecięce, z lekko wysuniętą górną wargą. Czuję ciepło ramienia opartego ufnie o moje ramię.

Znienacka, zdradliwie uderza ból — ból, który od serca pnie się po arteriach i chwytą za krtań. Nieodłączny towarzysz nas żołnierzy na obczyźnie.

Wchodzę po cichu do naszej stajni i zagrzebuję się w sianie.

Rankiem budzą mnie dowcipy żołnierzy na temat starszego strzelca, który śpi jeszcze, tak jakos po dziecięcemu przytulony do młodego, leżącego bardzo spokojnie cielęcia, — stanowią pyszną parę.

Coś wyraźnie wisi dzisiaj w powietrzu. Przed wieczorem okopujemy się. Nasz pluton dostaje czołowe stanowiska przed „casą”. Na szczęście ziemia jest miękka i kopanie idzie łatwo. Oczywiście wszyscy przeklinają łopatki angielskie, w ogóle służbę w piechocie — wszystko ot tak z przyzwyczajenia — bo inaczej bez tego kopanie by przecież nie szło.

Mam już pół szczylny — oddają łopatkę gońcowi — popędzam łazików i idę się napić wody do casy. Już w drodze słyszę charakterystyczne hurgotanie i głosy:

— Uwaga — uwaga!

— Idzie porcja z Nebelwerferów. Robię kilka skoków za białe słomy i równocześnie słyszę sześć sześciokątów wybuchów i kłasnienia odłamków o słomę. Wyglądam szybko na przedpole. — Z dymu wylania się nasz radiota strzelec B. Jest ranny w szyję i w nogę — reszta naszych ludzi nieruchoma w półwykopanych schyzlach. Obok mnie ktoś mówi:

— Jezus Maria, wszystkich zabiło...

Lecz właśnie ci martwi wstają zdrowi i cali. Mieli szczęście, bo pociski leżą od 6 do 10 metrów od stanowisk. Wygląda to na dobrą obserwację — i różowa wieża wyrastająca malowniczo z zieleni na horyzoncie przestaje mi się stanowczo podobać.

Późnym wieczorem tego dnia taniec na naszym prawym skrzydle zaczyna się na dobre. Od 8 godziny bębni, jak oceniamy na „ucho”, około dziesięciu pułków artylerii plus co najmniej dwie ciężkie baterie plot, których pociski, jak czerwone muchy, całymi rojami siadają na wale.

Przychodzi gdzieś, via kucharzy i prowiantowego, wiadomość, że N. Zeland-

już dochodzą — słychać suchy trzask Brenów, Tomiganów i charakterystyczny stukot Spandau. Jakiś bliżej nas strzelający Spandau budzi szacunek w naszej grupce:

— Patrzcie... jeszcze strzelają, pomimo takiego ognia...

Rano są już pewne wiadomości, że N. Zelandczycy wyrównali front i przeszli łuk kanału.

Popołudniu przychodzą czołgi i siadają swymi potwornymi cielskami jak jakieś przedpotopowe potwory na przedpolu. U nas na sianie zaczyna się gorąca dyskusja:

— Zobaczcie, że ściągają na nas całą artylerię niemiecką, sami schowają się pod czołgi.

— ...i my (tzn. piechota) musieliśmy iść naprzód, a oni (tj. czołgi) dranie siedzieli z tyłu i kradli kury i pili wino...

I przychodzi mi naraz na myśl jakże inny maj — maj 1940 roku we Francji. W moim zniszczonym portfelu odnajduję zmieję kartki notatnika:

21.V.40.

...nie jestem hodowcą koni, ale takie muły jakie dostałem do biedek moich ckm nadają się chyba do muzeum szkieletów. Chomonta wiszą na nich do ziemi — sam nie wiem naprawdę co z tym fantem zrobić, a mój pluton jest na kolejce i dziś mamy odejść na front.

...zrobiłem przegląd plutonu — czarna rozpacz — nie ma skrzynek na amunicję, nie mam przyrządów plot a celowniczo nie mają żadnej broni. A te muły, o Boże, nic tylko olbrzymie uszy sterczą im z chomał.

...żołnierze wyglądają także dość niesamowicie, obładowani najwymyślniejszymi plecakami i bielizniarkami, które biją ich przy każdym kroku po du... A karabiny, każdy „prawie” dobry, — wiele z nich przypomina raczej legionowego Werdlia.

Melduję o tem kapitanowi — stary spojrział łagodnie na mnie spod swych nastrozonych brwi i zapytał spokojnie czy zrobiłem przegląd czystości nóg u żołnierzy przed wymarszem. Rozumiemy się dobrze.

Wójt naszej wioski wydał mi po długich pertraktacjach zaświadczenie, że nie ma pretensji do naszego plutonu z racji kwaterunku we wsi. Pluton Bolka musiał zapłacić 300 franków za wydeptaną ścieżkę do studni. Bez takiego zaświadczenia nie można wyruszyć na front — niech żyje kochana Francja.

12.00 wychodzę z plutonem 20 km do m. R., na opl załodowego punktu. Opl bez przyrządów celowniczych! — Zaczyna być wesoło!

A głupia Marie płacze — ce la guere mon petitel!

Budzi nas wczesnym rankiem piekielny hałas, „casa” nasza wprost chodzi jak żywa od nieustannych wstrząsów. Początkowo wyrwani ze snu — nie możemy się zorientować co to ma znaczyć, lecz już po chwili wszystko staje się aż nadto jasne. Nasza ciężka i połowa artyleria biją bez przerwy na naszym odcinku. Do tego koncertu dołączają się po chwili samoloty, pikując jak jastrzębie po trzy naraz w krótkich odstępach czasu. Na horyzoncie nad Gaiano wznoszą się słupy dymu a niebo robi się żółte od pyłu.

Nasze czołgi jak stado karaluchów rozlażą się wolno na dalsze przedpole i po chwili niktą za ciemną zielenią drzew. Po lewej stronie pomiędzy krzewami przesuwały się „krokodyle”, wlokąc za sobą ładunek płynnego paliwa.

Pomimo bombardowania i ognia artylerii odzywają się niemieckie moździerze, wydłużając swój ogień na bezpośrednie nasze przedpole.

Kładziemy się znowu na sianie w stajni. Rozmowy toczą się teraz leniwie, półsłówkami i właściwie to nikt naprawdę nie ma ochoty do gadania, ale każdy

ufanie, gdy tak lekko podany naprzód, opierając się mocno na lasce, mówi krótkimi dźwięcznymi zdaniem:

— Pierwsza kompania jeszcze nie przeszła na drugą stronę kanału — musicie być każdej chwili gotowi.

W parę minut potem ruszamy — jeden pluton za drugim, szeroko rozsypani. Moment jest dobrze wybrany. Sześćset metrów najbliższego przedpole do pierwszego wału przechodzimy szybkim marszem — nie mam wiele czasu na rozmyślanie — żołnierze mają ochotę rozlażyć się za szeroko i muszę ciągle pilnować łączności w plutonie.

Potykam się o pierwszego trupa — leży szczerzyły, tak że w pierwszej chwili biorę go za Hindusa lub Cyprycyżka, dopiero po chwili spostrzegam „Polandy”.

Dopadamy już pod ogniem do pierwszego rowu. Wpadamy weni dosyć chaotycznie — byle prędzej — na ręce, głowę, nogi — jak kto może. Pierwsza przerwa oddechow.

— Ubezpieczyć lewe skrzydło...

— Panie podchorąży, panie podchorąży — biegnie po linii — ja się czuję nie dobrze — ja już nie mogę dalej biec — słyszę słaby szepet st. strzelca o dwa metry ode mnie. Jest rzeczywiście bardzo błady a duże niebieskie oczy ma nadmiernie rozwarłe.

— Niech cię sanitariusz odprowadzi do tyłu.

Lecz wiem zarazem, że ta decyzja jest tak dla uspokojenia, bo właśnie w tej chwili zaczyna się gwałtowna nawała artylerii i moździerzy. Bębnią więc jak oszaleli.

Przed nami coraz bliżej grają Breny i Tomigany a po chwili dołączają się ze swoim wsparciem czołgi — robi się jeden piekielny jazgot tak, że musimy porozumiewać się na migi.

Decyduję się na oglądnięcie najbliższego przedpole, gdzie w domach walczą już nasze dwa plutony. Nie jest to jednak łatwo wykonać — nad brzegiem rowu, w którym leżę, słychać wyraźnie ostre kłasnienia serii Spandau’ów w kamienie i widzę, że niskie zboże faluje, jakby w nim biegało stado oszalałych myszy.

Ruszamy pod ogniem pojedynczo, skokami, przez dalsze rowy przed domami, których rozdarła wnętrza są martwe, jak kulisy teatralne. Tym razem wskakujemy do głębokiego kanału z wodą na dnie. Woda jest zimna i brudna. Po chwili leżymy tutaj wszyscy w jakimś półskurcu przywarci do gliniastego brzegu. Dwa metry w prawo leży jak kukła, zawinięty w płaszcz pżgaz, biedny strz. W., który pośliznął się właśnie na brzegu kanału. Strzelcy wyborowi nie próżnują.

Powoli dopiero świadomość i ulga rozluźniają mięśnie — na razie udało się! Wzdłuż naszego rowu do pierwszych domów krążą sanitariusze, ze swymi czerwonymi krzyżami — odprowadzają lżej rannych.

— Janek dostał w ramię od wyborowego...

— Stary zabity, granat urwał mu...

Wszyscy w rowie ożywiali się momentalnie, padają pytania i informacje, kto ranny, kto zabity — pomieszane z przekleństwami.

A potem znowu spięcie mięśni i woli — pojedynczo skok do skrajnych domów.

W pierwszej uliczce wpadam na Jurka — ma pistolet w dłoni.

— Nie strzelaj do mnie — żartuję. Jest cały czerniały od pyłu.

— Mam duże straty, mam duże straty... powtarza z jakimś uporem kilka razy.

Biegniemy dalej — jeszcze jedna uliczka i ostatnie domy miasteczka. Wypada z nich kilku Niemców z granatami. Krótkie serie Tomigana — nieludzki wrzask, a później nagła cisza.

Nikt nie strzela, jakby się umówili — szukamy schronu, koło domu — cisza nie wróży nic dobrego.

Oderwali się na linie domków poza miasteczkiem. — Przegrupowujemy się — kompania obejmuje okraciem szosę. Dołączają się do nas jakieś obce czołgi

Ruszamy. Idziemy za falą ognia czołgów które biją ze swoich dział i ckmów — idziemy po prostu jak na ćwiczeniach szturmowych z Tomiganami na pasie.

Domki o kolorowych dachach, półkryte w cieniu zielonych drzew, wyglądają sielsko. Lecz nagle giną w tumanach żółtego pyłu i piasku — bucha czerwony ogień — to Spitfire’y rozpoczęły znowu swoją robotę.

Ogarnia mnie jakieś śmieszne poczucie, że właściwie nie jestem tu zupełnie potrzebny — cóż może bowiem uratować się w takiej nawałe ognia z ziemi i powietrza? — Mój Tomigan wydaje się zwykłą pukawką dla dzieci.

Płonące domy wioski są coraz bliżej. Widzę jak wyskakują z nich małe czarne postacie, wymachują rękami jak kukiełki i kręcą się to tu, to tam — po chwili biegną naprzeciw nas, starając się przekrzyć pielielny hałas broni.

Eviva Liberatori!

Są na wprost ognia czołgów — padają na ziemię, to znowu się podnoszą i uciekają w histerycznym szale. Dajemy im znaki — na próżno — nie odbierają ich, a my nie możemy zatrzymać naszego ognia, bo sami otrzymujemy go z bocznych zabudowań. Na prawym skrzydle pałą się dwa czołgi.

Wbiegamy w grupach po kilku w pierwsze budynki. Zaczyna się oczyszczanie terenu, zewsząd słychać wybuchy granatów i serie z pistoletów masz. Nieliczni jefcy są brudni, zarośnięci, o krwią nabiegłych z bezsenności oczach, przypominają zagonione zwierzęta.

Zanim dotarliśmy do ostatnich farm, za naszymi plecami, na czołgach nadpływa nowy batalion — mija nas świeża fala żelaza i ludzi. Jesteśmy wyklinowani.

Kręcimy się wokół palących się domów — wyładowujemy się w nagłych nerwowych opowiadaniach — myszkujemy za obcą bronią. Potem grupujemy się przy swoich plutonach. Razem z mrokiem, który wciśa się pomiędzy palące się domy, nadpływa odprężenie i zmęczenie. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że słyszę trzask palących się krokwi, pękających dachówek i czuję swąd spalonych. Jestem zmęczony tak, że nie mam ochoty czekać na kolację, która rzekomo ma niebawem nadejść. Kładę się przy stogu słomy, który jakimś cudem ocalał.

Ranek budzi mnie dotkliwym chłodem. Błękit nade mną jest czysty i nie chciałbym odrywać od niego wzroku. Lecz z ziemi, na której leżę, podnosi się przede mną wczorajszy dzień. I choćbym zamknął oczy najszczelniej, nie zobaczę błękitu, a tylko znowu tych dwoje dzieci, których ciała stęzałe, wyglądają jak zepsute porzucone lalki.

Budzi się uczucie buntu i wstydu zarazem, które osiąga swój szczyt, gdy widzę, jak rozczochrany, brudny wieśniak włoski, z łopatą w ręce, niezgrabnie podnosi za kołnierze zeszywniałe ciała dzieci.

— Bydło, psiakrew — wymyka mi się mimo woli głośno.

— Niby kto? — słyszę ironiczny głos podch. Janka G., który widocznie obserwuje mnie już dobrą chwilę.

Kto? Nikt tego właściwie nie wie. A zresztą nie mam najmniejszej ochoty do rozmowy, więc nie odpowiadam na zaczepkę. Janek jednak nie daje za wygraną i próbuje sprowokować rozmowę:

— Katzenjammer ogólnoludzkiego miłosierdzia — co?

— A przypomnij sobie — ciągnie dalej — we Francji pięć lat temu, jak na odprawę prowadziliśmy się pod ramię, bo ledwie trzymaliśmy się z braku snu na nogach. Przypomnij sobie te noce w marszach, kiedy włokłeś się przywiązany do muła, co ciągnął biedkę. A bombardowanie na cmentarzu w St. Droll, gdzie twój Władek zwirował i strzelał z rewolweru do nieba...

— Nie rozumiesz mnie — odpowiadam mu z pewnym podrażnieniem — ja myślę, że musi być... — lecz nie potrzebuję koficyć, bo Janek zrywa się nagle ze słomy i podbiega do sanitariuszy, którzy na scenkę mego pola widzenia wnoszą rannego żołnierza niemieckiego. Ma otwarte usta i chrapie, jakby spał w najlepsze. Nawet dosyć energiczne oględziny lekarza nie budzą go ze snu. Lekarz, młody podporucznik, bada go starannie, po chwili słyszę, jak mówi do sanitariusza:

— Postrzał z Thompsona w prawą łopatkę, ogólne wyczerpanie wskutek bezsenności, załadować jak przyjdzie karetką.

Jedna ręka rannego zwisa bezwładnie poza nosze. Błyszczą na niej jakaś srebrna bransoletka. Wstaje i unosi rękę rannego. Na tabliczce bransoletki czytam wygrawerowany napis: Belgien i pod tym jakieś miejscowości, potem Frankreich, Belfort, Chevromont i St. Droll.

St. Droll... więc to jeden z tych i choć jakoś nie znajduję żadnej satysfakcji w tym rewanzu, to jednak budząca się świadomość, że jest jednak ktoś, kto trzyma szale wagi, przynosi mi ulgę.

Z zamyslenia wyrwa mnie Janek:

— Nasi ostrzeliwują Bolonie — krzyczy już z daleka.

# MAJSTER

Ciemniejąca pod wieczór banalnie szara Wisła kołysała do snu ulicę Czerwonego Krzyża, rozciągniętą nisko — w dole, pod Mostem Księcia Józefa. Tu, pomiędzy wysokimi blokami nowoczesnych kamienic mieścił się budynek Związku Zawodowego Kolarzy.

Za masywem ciężkich drzwi przedsiönka, zażywe szatniarki u płota bariery zapraszały w stronę lasu wieszadeł. Na przeciw — błękitna jadalnia o szklanych gablotach bufetu, zdobnych w zakurzone bombonierki i półmisek marynowanych śledzi, starych — jak krokodyle.

Wstępującego na piętro, po schodach między szatnią i bufetem czekało zacisze teatralnej sali. Brunatne płaskorzeźby na boazeriach ścian. Podłużnym klinem opuszczony z sufitu smutny zyrandol — wielki krzyż z czarnego żelaza — sphywał matowym światłem olbrzymiej gromnicy. Nad kapitelem sceny, stylizowane w drzewie zwierzęta i postacie otaczały wyryty napis, raczej egoistycznej treści: „Swoimi i Sobie”.

Ateneum.  
Tu Stefan Jaracz, dusząc się w ciasnych ramach TKKT państwowego Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej, po wielu trudach i przygodach założył wreszcie własny teatr. Grę Jaracza, popularnie zwanego Majstrzem, uznawali za najwyższy szczyt aktorskiego kunsztu nie tylko młodzi adeptci, lecz również i jego rówieśnicy.

Aktorzy zazwyczaj są klasycznymi megalomanami, wielkiego zaś Józefa Węgrzyna w żadnym razie o zbytnią skromność posądzić nie było można. Tymcza-

sem Węgrzyn, już jako znany aktor z wieloletnią przeszłością artystyczną, po swej premierze „Kresu Wędrówki” powiedział do przyjaciół:

— Przyznacie: zagrałem dziś... po jaraczowsku.

Określenie to było najwyższą pochwałą, jaką aktor mógł obdarzyć samego siebie.

Aktorzy Jaracza stanowili zespół, zarówno owiany czarem prawdziwej sztuki, jak i dawno zanikły rodzaj archaicznej trupy cyganów spod budy komedijskiego wozu.

Taki bowiem był ich sposób bycia: bezwzględne zakochanie w scenie przy niemal stałych kłopotach finansowych, bądź po prostu — w biedzie, a jednocześnie wspaniałe rozmach udzielnych arystokratów ducha. Przeżycie opracowywanych sztuk, niesamowite pomysły w życiu powszednim, psoty, figle i szampańskie zabawy. Choćby ów słynny mecz bokserski w snobistycznej kawiarni „Sim” przy Placu Marszałka. Pocziwe pianino zostało nagle bezlistnie wykopsane, a na zaimprovizowany z opróżnionego podium ring wkroczyło dwu golasów w kałesonach: Pośpiełowski i Kempa. Sędzią był Jaracz, bez marynarki, z zakasanyimi rękawami koszuli. W dłoniach ścisnął gong: zdjęty ze ściany metalowy talerz dęta Henryka Grunwalda. Uderzenie tyżką w miedzianą sarenkę na dnie patery dało znak rozpoczęcia rundy. Zawodnicy, którzy o boksie nie mieli zielonego pojęcia, walczyli oczywiście, bez rękawic. Wkrótce więc z krzywego nosa, dziewczęco ślicznego Leszka



Stefan Jaracz

Pośpiełowskiego siknęła krew, Kempie zaś górna warga jęła puchnąć z szybkością nadmuchiwanego balonika. W czasie przerwy Jaracz wachlował obu przeciwników ściągając skądś haftowaną serwetą. W kącie Daniłowicz, który już po kilku kieliszkach poczynął dostrzegać przedziwne miraż, szeptał tajemniczo:

## Z FRYDERYKIEM JAROSYM

Kto nie pamięta go z Warszawy? Kto go nie znał, nie lubił, nie zaśmieiał się do tego z jego dowcipów? Od chwili, gdy wkrótce po pierwszej wojnie światowej, jako reżyser słynnego „Błękitnego Ptaka”, zjawił się po raz pierwszy w Warszawie, zrosł się z nią, stając się nieodłącznym czynnikiem jej artystycznego życia. W ciągu długich lat bawił nieprzeliczone tłumy warszawian piosenką, monologiem, politycznym dowcipem.

Jarosy wychował całe pokolenie młodych aktorów. Jego „Qui Pro Quo”, „kochana, stara buda” w podziemiach Galerii Luksemburga otoczona była serdecznym sentymentem całej Warszawy. Po „Qui Pro Quo” pozostało jedynie wspomnienie, sentymentalne i czułe, jak po czymś bardzo drogim i bliskim, dobrze znajomym i związanym z naszymi latami młodości. Po czymś, co już nie wróci...

Gdy wybuchła wojna, o Fryderyku Jarosym zaginął wszelki śluch. Wiadomo było jedynie, że na początku okupacji niemieckiej został aresztowany przez Gestapo, i rozstrzelany. Wprawdzie nikt nie wiedział napewno, że Jarosy zginął, ze względu jednak na zadawnione porachunki, jakie miał z Niemcami, wolno było spodziewać się najgorszego.

I oto nagle, przed sześciu tygodniami, w paryskiej „Cafe de la Paix”, spotykam Fryderyka Jarosego, w mundurze porucznika AK. Prawie niezmierny, pomimo munduru i gęstszej siwizny na skroniach. Ten sam uśmiech, ta sama z lekka cudzoziemska polszczyzna, ten sam dowcip i wdzięk. Jak gdyby przed chwilą zszedł ze sceny „Qui Pro Quo”.

W Paryżu nie było czasu na dłuższą rozmowę. Jarosy zdążył powiedzieć tylko, że niedawno wydosłał się z niemieckiego obozu i dał mi swój adres w Brukseli, gdzie zamierza otworzyć teatrzyk literacki. Niedawno odwiedziłem go w stolicy Belgii i spędziłem z nim parę godzin. Jarosy opowiadał mi swoje dzieje i przedstawił plany na najbliższą przyszłość.

23 października 1939 roku, Jarosy został aresztowany za to, że gdy poprzedniego dnia, w Cukierni Ziemiańskiej, podszedł do „polski” filmowiec, Jan Fehke, który w międzyczasie zdążył przeistoczyć się w „Volksdeutscha” i zapytał go, co zamierza robić w najbliższym czasie, Jarosy odparł: „Deutsche far niente”. Następne-

go dnia aresztowano go, pod zarzutem „obrazy honoru niemieckiego”.

Po sześciu miesiącach w więzieniu na Daniłowiczowskiej, gdzie przebywał w jednej celi z Mieczysławem Niedziałkowskim, Bolesławem Piaseckim, braćmi Bursche, marsz. Ratajem, Jurem-Gorzechowskim, stanął przed niemieckim sądem doraźnym. Proces odbywał się w pałacu Bruhloivskim. Oskarżyciel hitlerowski odczytał m. in.



Fryderyk Jarosy

teksty wszystkich przedwojennych antyhitlerowskich konferanserek oskarżonego, stenografowanych w swoim czasie troskliwie przez Igo Szyma. Przed procesem, obrońca Jarosego, po zapoznaniu się ze sprawą i z aktem oskarżenia, rzekł doń: „Nic pan nie ma do stracenia... Lepiej zginąć odrazu, niż męczyć się parę lat w obozie, na torturach. Zachowaj się pan tak prowokacyjnie, by pana rozstrzelali”. No, i Jarosy zachował się „prowokacyjnie”, Wygłosił trwające półtorej godziny „ostatnie słowo”, od którego dech zaparło hitlerowski sędziom. Początek tego przemówienia brzmiał mniej więcej tak: „Nie mam żadnych wątpliwości zrozumią przez panów, gdyż będę wprawdzie przemawiał do was po niemiecku, ale językiem Goethego, Schillera i Heinego, a nie moabickim

żargonem, którym panowie do mnie przemawiali”.

Sędziowie niemieccy bardzo się zdziwili, ale Jarosego na śmierć nie skazali. Dostał pięć lat obostrzonego obozu za „obrazę honoru niemieckiego” i drugich pięć lat za swe „ostatnie słowo”. Razem dziesięć. Dużo gorzej, niż wyrok śmierci.

W drodze z sądu na Daniłowiczowską uciekł eskortującym go żandarmom. W dwa tygodnie później nawiązał kontakt z ZWZ (Związek Walki Zbrojnej) i rozpoczął pracę w propagandzie polskich sił podziemnych. Nosił ciemne okulary, zapuścił długie wąsy i nazywał się Franciszek Nowaczek. Z dawnego Fryderyka Jarosego nie pozostało śladu. Pan Nowaczek stał się jednym z filarów propagandy AK. W ciągu półtrzecia roku opublikował w prasie podziemnej ponad sto zjadliwych pamfletów antyhitlerowskich. Niebawem zostaną one wydane, w Niemczech, w książce, która nosić będzie tytuł „Mein Kampf, czyli moja walka z doktorem Goebbelsem”.

Przyszło Powstanie Warszawskie. Jarosy wchodził w skład oddziału, broniącego Domu Akademickiego, przy Placu Narutowicza. 19 sierpnia dom został zdobyty przez Niemców i porucznik Jarosy, recte Nowaczek, dostał się do niewoli. Powędrował najpierw do Buchenwaldu, a potem do obozu pracy w Holzen w Turynii, skąd w kwietniu b.r., uwolnili go Anglicy. Ponieważ zna siedem języków, zrobiono go tłumaczem w armii brytyjskiej. Obecnie powierzono mu misję „opieki kulturalnej” nad polskimi DP (Displaced Persons). W tym właśnie charakterze Jarosy przebywa w Brukseli i wraz z gronem polskich aktorów, montuje teatr.

Teatr będzie nazywał się „Cyrulik Warszawski”. Centrala jego mieścić się będzie w Brukseli, skąd Jarosy jeździć zamierza do obozów. Początkowo grać będzie tylko dla Polaków, później jednak zaprezentuje się również i publiczności belgijskiej. Teatr jego będzie to scena literacka, w rodzaju „Qui Pro Quo”. Zespół: prócz Jarosego, Irena Eichlerówna, Brochwiczówna, Grossówna, Magierówna, później Hanka Ordówna, Rewkowska, Szybowski, Rebiak etc. Poza teatrem objazdowym Leona Schillera, który już gra, powstanie więc wkrótce jeszcze jeden polski teatr na obczyźnie „Cyrulik Warszawski” Fryderyka Jarosego.

Roman Fajans

— Ostatnio z Majstrzem niedobrze. Gdy wczoraj wszedłem do jego garderoby, spał na kanapie, a po nim biegały białe myszki.

W ogóle był to wówczas czarny dzień w kawiarni „Sim” — niskiej, oszklonej wandzie, niczym umeblowana oranżeria. W sąsiednim saloniku Władysław Grabowski aktor, ekscentryk i lowelas, któremu jednakże uznawał kobiety conajmniej balzakowskie, zapłonął nagłym afektem kierownicze lokalu, — leciwej, dystyngowanej damie. Pragnąc wyznać, iż jest ona jego ideałem właśnie dlatego, że dawną przestała być młodką, Grabowski ukląkł i oświadczył się:

— Pani! Kocham panią, bo pani jest stara!

W ustach jego brzmiało to najwspanialszym komplementem, jakim mógł obdarzyć najdroższą. Efekt atoli był niespodziewany. Krewka niewiasta, pomimo swej dystynkcji nie zdzierzyła i wyrzuciła niefortunnego amanta w ucho z taką siłą, że facet przewrócił się z kłęczek na czworaki, z oka zaś wypadł mu monokl i przezroczyście pięćdziesiątówką potoczył się pod kanapę.

Jaracz zanim występował w Teatrze Polskim i Narodowym, by ostatecznie zwinąć do zacisznej przystani Czerwono-krzyskiej, prowadził teatr objazdowy odwołując niemal wszystkie prowincje polskie. Występy jaraczowskiej trupy bodaj wszędzie miały swą historię i anegdotę, jako że rzadko obeszło się bez przygody. Do Częstochowy zjechało z „Księdzem Markiem” Słowackiego. W dużej sali straży ogniowej, tak zwanego „Teatru na Strażackiej”, dano przedstawienie dla szkół. W połowie drugiego aktu Książd Marek-Jaracz, schodząc ze sceny, nie zauważył tuż za dekoracjami otwartej klapy piwnicy i z hukiem zleciał na dół. Urzeczona ostatnimi słowami artysty publiczność usłyszała nagle przedziwne jego okrzyk:

— O...! kur de fraki!

Za czym rozległ się łoskot spadającego cięła.

Po przedstawieniu wzruszony dyrektor gimnazjum z głębi serca dziękował Jaraczowi za wspaniałe widowisko.

— Czy jednak proszę Mistrza — spytał nieśmiało — nie można było usunąć z tekstu sztuki tego okrzyku za sceną...? Bądź, co bądź, na widowni siedziały pensjonarki... młode panienki.

Stefan Jaracz — postać bynajmniej nie aktorska. Zaledwie średniego wzrostu, twarz o rysach prostych: krótki, zadarty nos, kwadratowy podbródek, wystające kości policzkowe, głos przyciszony, jakby senny, wzrok przymglony znużonych, niepatrzących oczu. Człowiek ten w ulicznej ciżbie czy tłumie kawiarnianych gości raczej niepozorny, na scenie wyraźny i olbrzym, który mocą swego talentu przesłaniał współpartnerów a często i treść granej sztuki. Bywało, przelotnym wejściem na scenę, jedną, małą kwestią kładł stygmat swego geniuszu na cały utwór. W „Dziewczyźnie z lasu” Szaniawskiego stary gajowy Jaracz, który na scenie ukazuje się jedynie dwukrotnie przez chwilę, nadawał błażej sztuce ciężar głębokiej tragedii, pozostawiając niezatarte wrażenie. Talent wielkiego Majstra posiadał przeogromną rozpiętość. Od amerykańskiej groteski „Cieszmy się życiem” — nieśmiertelnego Szwajka, śpiewającego kretyńskie kuplety o kukułce — autora grafomańskich powieści, w mieszanku na „Szóstym piętrze”, ubożego urzędniczyzny, tragicznie kochającego swą nieszczęśliwą córkę — poprzez Fredrowskiego Rejenta Milczka — iście diabolicznego Świętoszka — wykołajonego aktora w „Artystach” — do śmiertelnie bolesnej głębi cierpienia wiejskiego belfra Smugonia z „Przepióreczki” Zeromskiego.

Jaracz nie mógł być kimś innym, jak tylko i wyłącznie artystą dramatycznym. Bez sceny nie wyobrażał sobie życia. Spytany raz przez dziennikarza, kim pragnąłby zostać, gdyby miał zmienić zawód, odparł:

— Gdybym nie mógł być aktorem, zostałbym suflerem...

Repertuar Ateneum był najbardziej różnorodny, klasyczny, współczesny, awangardowy, a zawsze o najwyższym poziomie. Do żelaznego zespołu zakochanej w swym Majstrze młodzieży aktorskiej, przystępowali artyści o zdawna uznanej sławie. Mariusz Maszyński rozśmieszał tu nieśmiertelnymi powiedzonkami sewilskiego balwierza, a zanim zapłonęła ostatnia, niepodległa jesień, — zapowiadano występy Cwiklińskiej.

Po Wrześniowej pożodze, Jaracz, początkowo jak i inni aktorzy, pracował podobno w którejś z kawiarni. Wkrótce jednak, powalony gruźlicą, dogorywał w jednym z podwarszawskich uzdrowisk. Ze śmiercią jego zszedł ze sceny życia za kulisy zaświatów jeden z największych artystów tej Polski, jaką nosimy w myślach, wspomnieniach i sercach.

# O ZAUFANIE DO PRZYSZŁOŚCI

Na terenie Niemiec rozpoczęły się już pierwsze procesy zbrodniarzy wojennych. Prasa codzienna podaje szczegóły na podstawie których już teraz można sobie zdać sprawę z rodzaju i ciężaru win, z metody sądenia i obrony oskarżonych. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy rozporządza specjalną ustawą, według której przedstawiciele czterech mocarstw przeprowadzić mają badania, sklasyfikować zbrodnie i wydać wyroki. Wszystko to jest na razie wstępem do mających się zacząć w listopadzie wielkich procesów w Norymberdze, w których na ławie oskarżonych zasiądą główni zbrodniarze i sprawy niespotykanych dotąd w historii ludzkości krzywd.

Zbliża się ostatni akt tej wojny, na który świat czeka z wiarą, że będzie on zawierał klasyczny morał — ukaranie zła i zwycięstwo sprawiedliwości.

O potwornościach niemieckich pisze się i mówi od lat, koniec wojny przyniósł ujawnienie śladów zbrodni na miejscach kaźni, co zdawałoby się nie tylko rozwiało złudzenia, ale najbrutalniej przekroczyło wszelkie oczekiwania co do ich rozmiarów, a jednak zdarzają się dziś jeszcze głosy twierdzące, że dużo jest przesady i propagandowej celowości w przedstawianiu faktów gorzej niż wyglądały w istocie.

Tego rodzaju zjawiska nie zmieniają jednak w niczym faktu, że straszliwy plon zbrodni niemieckich — obozy koncentracyjne pozostają niezatartą plamą w dziejach świata, plamą na kulturze naszej epoki. To zaś co nie jest do uratowania, czego nie można i nie wolno bronić nawet w imię najświętszych dla nas prawd — musi zginąć.

Zbliżający się akt wymiaru sprawiedliwości posiada znaczenie nie tylko polityczne i moralne, lecz przede wszystkim — ideowo-kulturalne.

Od tego w jaki sposób sumienie Zachodu potraktuje ten bezmiar krzywd, który nie jest do naprawienia i którego nikt nie potrafi wymazać z historii — zależy będzie zaufanie świata do czasów, które idą.

Przyjęcie zasady odpowiedzialności indywidualnej za zbrodnie wojenne jest pierwszym krokiem na drodze demokratycznego urzędowania świata powojennego. Świadczy też o woli postępowania w stosunkach międzynarodowych według zasad sprawiedliwości obowiązujących na Zachodzie. Z drugiej jednak strony tego rodzaju forma sądu grozi niebezpieczeństwem ożywienia na nowo, zdawałoby się w przedzie dnia końca wojny pogrzebanego, problemu „dobrych Niemców”.

Opinia publiczna kształtuje się na podstawie tego, co notuje codzienna prasa, podająca szczegóły procesów. Szczegóły te świadczą o drobniawym obliczaniu ile kopnięk, strzałów czy uderzeń ma na sumieniu poszczególne oprawca. Skoro przy tym powoli znikają z powierzchni ziemi pieczę, w których palono ofiary, skoro uprzętnięto stosy trupów i zasypiano doły — groby tysięcy niewolników — może się łatwo wytworzyć sąd, że wystarczy się uporać z pół milionem dotychczas pochwyconych zbrodniarzy, aby sprawiedliwości stało się zadość, aby świat w wysiłku odbudowy jutra mógł jak najprędzej zapomnieć o koszmarnym wczoraj.

Takiego rozwiązania problemu pragną niewątpliwie najbardziej sami Niemcy, którzy, jak wynika z przebiegu wstępnych badań, już teraz odzęgnują się od jakichkolwiek pronazistowskich sympatii. Wszyscy stali się nagle „dobrzy” i najzupełniej nieświadomi tego, jak głęboko i daleko sięga siła zniszczenia rozpętanej przez nich wojny.

Niebezpieczeństwo jest tym większe im bardziej idzie po linii pragnień ludzkich — jak najszybszego odrestaurowania pokojowego światopoglądu, wiary w przyszłość i odpoczynku od koszmaru wojny.

U podstawy spełnienia tych pragnień leży jednak kwestia głębsza niż wykonanie wyroków. Kwestia uratowania prestiżu sprawiedliwości i poczucia odpowiedzialności nie tylko za czyny dokonane, ale i za ich groźne następstwa,

które czają się w trudnej do przewidzenia przyszłości świata.

Same przygotowania do procesów w Norymberdze, którym wiele miejsca poświęca prasa codzienna, mówią o tym, że sąd nad głównymi zbrodniarzami wojennymi będzie miał niebawem rozgłos i nieodłączny od tego posmak sensacji. Nie chodzi o to, czy dobrze się stanie jeśli przebieg procesów zostanie sfilmowany i będziemy go mogli oglądać w dodatkach kinowych. Zysk dla opinii świata jakim będą szczegółowe opisy procesu w gazetach — jest również problematyczny.

Jest to niewątpliwie ludzka i demokratyczna forma sądu — jeśli oskarżeni mogą się bronić, jeśli wzywa się dziesiątki świadków, którzy raz jeszcze przeżywają tragedie swoich przeżyć, skrupulatnie badani przez trybunał, aby dać świadectwo prawdzie.

To samo zadanie spełniłyby niewątpliwie sąd na zasadach wojennych, skazujący cały bez wyjątku personel obozów koncentracyjnych na najwyższy wymiar kary, bo nie chodzi tu chyba o udowodnienie winy.

Forma odpowiedzialności jednostkowej jest dla Niemców bardzo wygodna. Oskarżeni zwalają winę z reguły na swoich przełożonych, których rozkazy wykonywali lub też tłumaczą się swoją niewiedzą o tym, co działo się w obozach i więzieniach. Szczytem bezczelności są słowa Krammera, który zaprzecza jakoby świadczyć przeciwko niemu i po stokroć udowodnione wypadki — były w ogóle prawdziwe.

Tego rodzaju incydenty tworzą z sądu ponury spektakl, gdzie cienie ludzkie, cudem wyrwane śmierci, zdają się nie wystarczać, aby dowód winy stał się oczywisty, a głosy zbrodniarzy, sadyistów i degeneratów moralnych brzmiały zachwale i one to domagają się sprawiedliwości!

Ludzie ci ponoszą bezpośrednio winę za męczarnie i śmierć setek tysięcy ofiar, ale nie na nich kończy się cała odpowiedzialność. Za te zstępny zbrodniarzy, wzytanych z uczuć ludzkich i za ich czyny odpowiada nie tylko Hitler i partia nazistowska, ale niemal w równej mierze cały naród niemiecki. Naród, który dopuścił do tego, że tacy ludzie istnieją. Ojcowie i matki, którzy pozwolili na to, aby reżim hitlerowski wychował ich dzieci na zbrodniarzy. Naród, który patrzył spokojnie na deprawację swego młodego pokolenia i który w tej deprawacji widział swoją siłę i na niej budował nadzieję potęgi.

Dlatego w obliczu ostatniego aktu wojny, jakim będzie ukaranie zbrodniarzy, sumienie świata nie może się uspokoić wyrokiem śmierci na inspiratorów i wykonawców zbrodni. Procesy, które się odbędą muszą utrwalić w pamięci świata bezmiar podłości do jakiego okazali się zdolni Niemcy — zdolny okazać się może człowiek, który umie się wyrzec człowieczeństwa dla doktryny i sumienia dla siły.

W tym świetle zadanie Trybunału urasta do miary probierza wartości duchowych i ideowych powojennego świata. Na nim też spoczywa odpowiedzialność za to, aby naród niemiecki w imię bezpieczeństwa i dla przykładu świata nie uwolnił się zbyt szybko od zbiorowego poczucia winy za zbrodnie tej wojny.

Z drugiej strony istnieje równie poważny i daleko w przyszłość sięgający problem odpowiedzialności za skutki zbrodni. Za tych wszystkich, którym koniec wojny przyniósł oswobodzenie i powrót do życia. Nie chodzi tu w tej chwili tylko o odpowiedzialność materialną. Chodzi o coś więcej. O odpowiedzialność za straty moralne, których nie można zmierzyć i obliczyć, a które w powojennym świecie długo jeszcze mogą ciążyć kulturze świata i porządkowi społeczeństw.

Relacje byłych więźniów obozów niemieckich są szeroko znane i komentowane — a jednak niedostatecznie podkreśla się fakt, że z perspektywy czasu i z innej płaszczyzny życia, we wspomnieniach, w koszmarnych snach — boli ich najwięcej nie przeżyta kaźń, nie doznane okrucieństwa,

nie głód i choroby, nie bestialstwo dozorców (bo do tego w końcu, kto nie umarł — musiał się przyzwyczaić i nie oczekiwał po nich niczego ludzkiego), — ale widok powolnego podlenia współwięźniów.

Ludzie, którzy o tym mówią nie oburzają się, nie ciskają gromów, nie piętnują słabości charakteru — któż jak nie oni zdobyli najboleśniejszą umiejętność rozumienia drugiego człowieka — ale widać, że traktują to jako krzywdę najcięższą i niewybaczalną.

Tych ran moralnych nie uleczy wolność. Tej straty, jaką poniosła ludzkość z winy Niemców, nie zapłacą żadne sumy odszkodowań. Zapewne procent moralnych wykołoficjów nie jest duży, ale warunki w jakich uwolnieni z obozów „Displaced Persons” przebywają do dziś, sprzyjają jego rozrostowi. Zagroża to nie tylko porządkowi Europy, ale i kulturze świata powojennego. Kulturze, która przechodzi niespotykany dotąd w dziejach kryzys, a grozami setek tysięcy pomordowanych znaczy ślad swojego upadku. W dźwiganiu się tej kultury, każda krzywda zaciąży balastem, bez względu na to, czy będzie to krzywda polityczna, godząca w byt narodu, czy moralna krzywda człowieka.

Każda wojna niesie zniszczenie i osłabienie sił moralnych społeczeństw. Mówiło się o „pokoleniu wojennym” po pierwszej wojnie światowej, zarzucało się mu brak energii i sił żywotnych — o ileż bardziej zaciąży światu pokolenie byłych więźniów Oświęcimia, Belsen czy Ravensbrück, pokolenie zniszczone fizycznie, załamane psychicznie, a w pewnym procencie zdemoralizowane.

Któż wziąć ma na siebie ciężar odpowiedzialności za przyszły wkład do życia i kultury świata tego pokolenia, jeśli nie ci, których zadaniem jest dziś wymierzać sprawiedliwość i przywracać zakłócony ład.

Nie wolno nam zamykać oczu na rozciągłość zbrodni i odpowiedzialności, na istotny związek momentu wymierzania kary na zbrodniarzy wojennych z perspektywą jutra Europy i świata, bo to

jest tylko ułamek sprawiedliwości, która musi się dokonać we wszystkich dziedzinach życia.

A jeśli się ma dokonać — trzeba, aby świat mógł w nią uwierzyć. Trzeba od pierwszej chwili nadać jej znamie prawa, którego pogwałcenie doprowadziło do katastrofy, ale którego przywrócenie potrafi odwrócić następną...

Mamy świeżo w pamięci — inny proces, który w imię rzekomej sprawiedliwości, dokonał zbrodni na którą świat odpowiedział milczeniem. Jaką mamy dziś pewność, że ideał sprawiedliwości w stosunku do Niemców nie okaże się frazesem — skoro w samym pojmowaniu jego istoty, na przestrzeni między Londynem a Moskwą — leży przepaść? Skoro sprawiedliwość na Zachodzie nie oznacza sprawiedliwości na Wschodzie? Jaką mamy dalej pewność, że w rozumieniu istoty słów wolność i prawda — nie zachodzą równie głębokie i groźne różnice? A przecież świat wkraczający w erę pokoju, w który chcemy wierzyć — nie może rozbić tych zasadniczych pojęć zależnie od stref wpływów.

Sprawiedliwość dokonać się więc musi nie tylko w stosunkach międzynarodowych, ale i w dziedzinie idei. Musi powrócić zrabowaną wiarę w jednakowe dla wszystkich wartości ludzkie kultury, z której wyszliśmy i do której wrócić musimy. Prawny charakter ukarania zbrodniarzy potrafi wówczas zabrakować wyrwę w tej kulturze jaką dokonała wojna, potrafi rzucić pomost, bez którego świat nie umiałby i nie mógł posunąć się naprzód.

Dopiero wtedy, gdy ta droga naprzód zostanie otwarta — będzie można myśleć o naprawianiu i leczeniu krzywd, leczenie to jednak wymaga atmosfery prawdy i wolności.

Jeśli samo słowo sprawiedliwość — będzie miało dla wszystkich jeden dogmatyczny sens, któremu można zaufać — wówczas dopiero kultura Europy podźwignie się z kryzysu, minie rażę, która jej grozi rozbitiem i pokusić się będzie mogła o zrehabilitowanie największej swojej wartości — wiary w Człowieka.

Czy możemy mówić na osobności?

„The Daily Mail”



# Nr 13 (Część I) Wykaz osób poszukiwanych

Centrala Poszukiwań PCK (Polish Forces M. E. 55) ogłasza trzynasty kolejny Wykaz Osób Poszukiwanych. Pierwsze nazwisko oznacza osobę poszukiwaną, drugie nazwisko — osobę poszukującą.

**Poszukiwany:** **Poszukujący:**  
**ABAMIELIK Zofia**, 1926 Bułanow Mikołaj  
 Abrahamowicz Tadeusz, 1917, Lwów  
 Abrahamowicz Stan. Marian  
 Adamczewski Jan, 1913, Kijów  
 Adamowicz Maria  
 Adamowicz z Trąbczyńskich Małgorzata  
 1901, Kalisz Adamowicz Bronisław  
 „Admirał” Skura Jerzy,  
 siostrzeniec „Elżbiety”  
 Andrejczuk Eugenia, 1922 Andrejczuk Wład.  
 Andrusiewicz Konstanty, 1889, Stanisławów  
 Ruczowska z Andrusiewiczów Helena  
 Andruszkiewicz Jan, lat 39 Andruszkiewicz T.  
 Andrzejczyk Stan. 1900 Andrzejczyk Renata  
 Andrzejewski Stefan, 1914, Warszawa  
 Sawicka z d. Dzienisiewicz Jadwiga  
 Antonowicz Sabina z d. Rudolf  
 Antonowicz Zdzisław  
 Antonowicz Zofia  
 Antonowicz Zygmunt  
 Antonowicz Kazimierz  
 Apfelm Schmidt Róża  
 Augustowski Stanisław  
 Oberländer Gaby  
 Łucywek Jan  
**BABIJ Bolesław**, 1923, Śniatyn Cichoń Eug.  
 Banasiewicz Józef, 1897 Zienkiewicz Michał  
 Baranowski Witold Trębaczek Czesław  
 Barzdajówna Teodozja, 1913 Rzeźnicki Wł.  
 Bator Ignacy Krupiński Kazimierz  
 Beltrowski Czesław, 1923 Beltrowski Henr.  
 Berezowski Ludosł. 1916 Piestrakiewicz Ant.  
 Berezowski Tadeusz, 1919  
 Berger Jan, 1925 Berger Aleksander  
 Beskulska Irena, l. 23 Smoleński Aleksander  
 Białkowski Roman, 1923, Warszawa  
 Dymińska Krystyna  
 Biedziński Kazimierz, 1916, Nadwórna  
 Strutyński Józef  
 Bilecki Antoni, 1913  
 Bilecki Kazimierz, 1917  
 Biskupski Franciszek, 1898 Urbaniak Wład.  
 Blank Henr. Teresa, 1920, Wilno Blank Zygm.  
 Bliman Łaja, 1910 Bliman Józef  
 Bliman Maria, 1898  
 Blond Kazimierz, 1904, Ostrów Hołuj Jan  
 Błotnicki Zbigniew, 27. VII, Rosja  
 Rzeźnicki Władysław  
 Bobrowski Andrzej, 1925 Stankiewicz Stan.  
 Bohdanowicz Stanisława, córka Aleksandra  
 Bohdanowicz Jerzy  
 Bojczuk Włodzimierz, 1910, W-wa  
 Juśkiewicz Anastazja z d. Bojczuk  
 Bojko Stanisław, 1922 Bojko Stanisław  
 Bonkowski Antoni, 1916, Ostrówek  
 Gramza-Bonkowski Jan  
 Borkowska Janina, 1909 Borkowski Wład.  
 Borkowska Krystyna, 1931  
 Borowicz Ksawera, 1921 Borowicz Joachim  
 Borowicz Paweł, 1901 (1906)  
 Borowicz Edmund  
 Borowicz Jan  
 Borowicz Brunon, 1922  
 Borowicz Antoni, 1913  
 Borowski Jerzy, 1915 Borowska Zofia  
 Borsówna Henryka, 1919, Łódź Goliński Ign.  
 Bouhuys Weronika, 1907 Jerszyński Ignacy  
 Boya Piotr, 1875 Werzepechowski Miecz.  
 Brouss z d. Tymoszek Ziuta, 1895, W-wa  
 Laskowska Stanisława  
 Brykan Perla, 1912 Bliman Józef  
 Brzeziński Jerzy, 1914 Brzezińska Alicja  
 Buczek Maria, 1905 Srodon Magdalena  
 Bukala Jan, 1921 Bukala Józef  
 Bukietyński Wład. 1889, Sambor Michna M.  
 Burak Jakub, syn Aleksandra Burak Onufry  
 Burzyński Kar. Jan, 1911 Tober-Burzyńska M.  
 Bystron Wiesław, 1917, Lwów  
 Majewski-Starża Witold  
**CHAŁUBIŃSKI Jan**, lat 36, Łódź  
 Chałubińska Janina  
 Chałupniczak Józef, 1913 Chałupniczak Anna  
 Chałupnik Jan, lat 35 Stasica K.  
 Charkiewicz Włodz. 1892 Charkiewicz Waler.  
 Chatelar Jan, 1903 Belgrad z Broneckich Alic.  
 Chatelar Stefania, 1914  
 Chojnicka Elżbieta, 1904 Chojnicki Karol  
 Chorap Aniela Kaźmic Anna i Jan  
 Chorap Jan  
 Chromik Augustyn, lat 45 Grodoń Józef  
 Chyla Józef, 1909 Wojciechowski Bolesław  
 Cisielski Józef, 1899 Ambrozik Maksymilian  
 Copik Lucja, 1922 Kozielski Paweł  
 Cygan Maria Wałek Zbigniew  
 Cywiński Wład. ok. 51 lat Kisztań Ludwika  
 Czech Andrzej, 1900, Kaszów Czech Michał  
 Czech Helena, lat 66  
 Czech Józef, lat 75  
 Czech Maria z d. Pula  
 Czerny Bogdan, 1898 Chojecka z Kuczyń-  
 skich Olga  
**ĆWIAKALSKI Józef**, 1900 Ćwiakalski Franc.  
**DANOWSKI Ant.** 1921 Michniewicz Janina

**Poszukujący:**  
 Dąbrowski Jan Henr. 1898 Dąbrowski Paweł  
 Deloff Tad. i Janina z W-wy Jagielski Jerzy  
 Diener Marian Tadeusz, 1901  
 Müller z d. Diener-Ilnicka Winc.  
 Dobrzeniecka Maria, córka Mariana  
 Dobrzeniecki Marian  
 Dobrzyński Leszek, 1916 Dobrzyński Bogd.  
 Dołęgowska Zofia, 1919 Dołęgowski Henr.  
 Domański Lech, 1914 Domański Jerzy  
 Domaradzki Fel. Teod. 1910 Skowroński W.  
 Domian Edmund, syn Józefa, lat 44—45  
 Etmański Leon  
 Zubrzycki Jan  
 Dowgiel Leonard, 1912  
 Drapa Emil, 1918, syn Wilhelma Drapa Józef  
 Drapa Wład. 1912  
 Drastik Lucja, 1927 Wesolik Erwin  
 Drawc Jan, 1907 Drawc Leon  
 Dreger Karola, 1924 Lentz Erwin  
 Dreikurs-Gelbert Regina, 1900  
 Silberman-Dreikurs Ida  
 Dubiel Eugeniusz, 1900 Juzwa Stefan  
 Dudek Helena, 1925 Tarnowski Stanisław  
 Dudziński Piotr, 1897 Grubecka-Bojko Zofia  
 Durkalec Helena, 1899 Durkalec Ernest  
 Duro Zygmunt, 1901 Kalata Stanisław  
 Dutke Emilia, 1923 Kuliński Otton  
 Dworakowski Stanisław, 1908  
 Zwił Wanda z d. Dworakowska  
 Dybczak Franc. córka Michała Adamek Fr.  
**ELEKTOROWICZ Aleksander**, 1903  
 Elektorowicz Tadeusz  
 Starzeńska Ada  
 Elsnier Elżbieta, 1910  
 Ezman Walery, 1914 Ezman Julian  
**FALLENBUCHL Zbign.** ok. 1924 Jarosz Marek  
 Fandrych Melania, 1921 Fandrych Edward  
 Farana Andrzej, 1922 Barteczko Antoni  
 Federowicz Stef. z Łukowa Sawicka Jadwiga  
 Filler Wacław, 1904 Łysakowska Kamila  
 Folta Klementyna, 1926 Benz Lech  
 Foltyn Antoni, 1923 Foltyn Alojzy  
 Friedman Zofia, Kraków Szczeliński Franc.  
 Frydman Ela, Biała Podl. Jawor Cwi  
**GAJEWSKI Bogdan**, Inowrocław  
 Szehidewicz Jakub  
 Gajewski Henryk, lat 18  
 Karmelita-Gajewska Leokadia  
 Gajewski Józef, lat 30, Żółkiew  
 Karmelita-Gajewska Leokadia  
 Gajewski Konst. Inowrocław Szehidewicz J.  
 Galant Piotr, Kalisz Kędzia Barbara  
 Galica Andrzej, 1921 Stołowski Franciszek  
 Galiński Stefan, 1914, Kielce Galiński Stan.  
 Garbula Jan, 1923 Garbula Maria  
 Gardzielewska Franciszka, 1902, Pieniążkowo  
 Szczukowski Feliks  
 Gawęł Stefan  
 Gawęł Leon  
 Gawle Bronisława, 1916 Gawle Bronisława  
 Gawle Józef  
 Gawłowska Józefa, 1929 Gawłowska Stef.  
 Gągańska Władysława, 1923 Wawra Józef  
 Gąsiorowski Leon, 1924 Gąsiorowski Edm.  
 Glazor Tad. 1923, Dobromil Ombach Józef  
 Gmaj Zygmunt, 1910 Gmaj-Drzymała Zofia  
 Gmitrzewska Stan. 1910 Gmitrzewski Wład.  
 Godecki Bronisław, lat 57  
 Gyurkovich-Szwięwska (Godecka) Emilia  
 Godula Antonina, 1925, Łagiewniki  
 Adamski Feliks  
 Godycki-Ćwirko Jerzy, syn Bronisława  
 i Anny Szymanowska Zuzanna  
 Goinka Józef, 1923 Goinka Elżbieta  
 Golarz Karol, 1900 Krzewiński Jan  
 Golembka Kazimierz Machowski Stanisław  
 Gołębiowski Janusz, 1924 Kubiński Zbign.  
 Gołębiowski Stefan, 1895, Wereszczyn  
 Gołębiowska z d. Zorawska Irena  
 Gonsik Stefan, 1905 Gonsik Tadeusz  
 Górczyzewski Władysław, 1919  
 Sobociński-Górczyzewski Kazimierz  
 Gotheil Miecz. 1914, Łódź Gotheil Artur  
 Górczyk Józef, 1913 Górczyk Stefan  
 Górczyk Sylwester, 1910  
 Górowski Bernard, 1913, Łódź  
 Mańko z d. Górowska Zofia  
 Górowski-Fromer Stanisław, 1905  
 Górowski-Fromer z d. Tilles Ludwika  
 Graber Janina, 1924, Dzikowiec Borowski J.  
 Grabiński Jan Witold, 1906  
 Hoffman z d. Bogorodziska Lidia  
 Grabowski Tad. 1895 Krzyszkowski Stan.  
 Grabowski Wojciech, 1915 Grabowski Leon  
 Graf Maria  
 Glombik Hubert  
 Grala Edward, 1912 Grala Czesław  
 Grala Jan, 1875  
 Grala Maria, 1914  
 Grosberger Jerzy, Łódź Grosberger Renia  
 Gruder Laura, ok. 50 l. Kromer-Wohlfeiler L.  
 Gruiński Władysław, 1895 Sobota Karol  
 Gruszecki Wład. 1892 Gruszecki Stanisław  
 Gruszka Konrad, 1924 Gruszka Alojzy  
 Grzesik Helena, 1903 Grzesik Ferdynand  
 Grzybowski Janina, 1918 Peluch Julian  
 Günsberg Alfred, 1897 Günsberg Luitpold  
 Günsberg Margareta, 1881  
 Günsberg Ruth, 1911  
**HADELN z d. Stempkowska Lola**  
 Bodar-Rousseau Ludwik Marek  
 Halt z d. Kuzaj Natalia, 1905 Halt Stefan  
 Hałasz Bogusław, 1926 Hałasz Franciszek  
 Haman Stanisław, 1918 Haman Władysław  
 Harland Zygmunt, ok. 1880 Jarosz Marek  
 Hawryluk Katarzyna, ok. 60 lat Peluch Jul.  
 Hepert Józef, syn Franciszka i Marii  
 Wronka Błagomir  
 Heppel Bogusław, 1923 Heppel Halina

**Poszukiwany:**  
 Herbert Antonina, 1905  
 Herdzina Andrzej, 1909  
 Herdzina Franciszek, 1904  
 Hnaciuk Maria, 1898  
 Höhne Celina, 1920  
 Hołuj Józef, 1905  
 Hoły Władysław, 1919  
 Hordyński Orest, 1920  
 Hryniewiecki Bron. 1907  
 Huber Helena z d. Urbańska  
**IGLIŃSKA Jadwiga**, 1897  
 Igliński Władysław  
 Ignasiak Leokadia, ok. 45 lat  
 Ignasiak Czesł.  
 Ilków Roman  
 Iwanek Jan, 1912  
 Iwaniec Józef, 1900  
**JABŁOŃSKI Czesław**, 1926  
 Jabłoński Tad.  
 Jabłońska Maria, 1896 Młodzianowska Zofia  
 Jabłoński Witold, 1925 Jabłoński Tadeusz  
 Jagielska z d. Wize Katarzyna, 1910  
 Ugrechelidze Halina  
 Rybicki Bolesł.  
 Jakubczak Władysław, 1922  
 Jakubowski Antoni, W-wa Kernes Ryszard  
 Jakubowski Władysław, 1929, syn Władysława  
 Jakubowski Ignacy  
 Jamtynna Wiktoria, Lwów Kusalewicz Julian  
 Janiak Stanisław Janiak Antoni  
 Janikowski (1939 Watykan) Marchewka Stan.  
 Jankowska Zofia, lat 18 Jankowski Kazim.  
 Jankowski Jan, 1895 Jankowska Halina  
 Jarocka Maria, ok. 50 lat Czarnecki Gerard  
 Jarozuk Józef, 1911 Sztulba Władysław  
 Jarzombek Bronisł. Łódź Filipiak Władysław  
 Jarzyna Maria, 1906 Jarzyna Zdzisław  
 Jasińska Tekla, 1912 Mrozowska z Jasińskich  
 Maria  
 Jasiński Zygmunt, 1916  
 Jasionowicz Leon, 1902 Jasionowicz Rozalia  
 Jastrzębski Józef, lat ok. 44 Szelągowski Henr.  
 Jaworska Anna, 1914 Jaworski Stanisław  
 Jaworski Jan, 1898 Jaworska Maria  
 Jaworski Paweł, 1916 Woźniak Leonarda  
 z domu Jaworska  
 Jersowicz Stanisława i Bronisław  
 Mosingiewicz Marian Zygmunt  
 Jędrzejewski Tad. 1923 Jędrzejewski Wład.  
 Jocz Stefan, 1909 Jocz Maria Helena  
 Jończyk Tadeusz, 1924 Jończyk Ryszard  
 Jończyk Zofia, 1903  
 Jordan Zbigniew, 1912 Wykowski Jerzy  
 Jurczyńska Antonina, 1902 Jurczyński E.  
 Juśkiewicz Marian, 1900 Sidor Teodora  
**KACHEL Norbert**, 1923 Kachel Paweł  
 Kaczmar Katarzyna, c. Marii Kuczapski Jan  
 Kaczmarek Stan. 1900 Grabowski Zbign.  
 Kaczmarek Bolesł. 1919 Kaczmarek Franc.  
 Kaczmarek Maria, 1922 Kaczmarek Maria  
 Kaczorowski Bol. 1907 Kaczorowski Franc.  
 Kaczyńska Janina, 1924 Kaczyński Paweł  
 Kalam Roman, 1916 Kalam Eugeniusz  
 Kalinowski Mikołaj, ok. 50 lat  
 Kalinowski Paweł Kazimierz  
 Kamiński Józef, 1923, Starogard Kamiński Cz.  
 Kamrowski Jan, pow. Grudziądz Jarzabek L.  
 Kaniuka Kazimierz, 1910 Kaniuka Franc.  
 Kańkowska Kát. 1895 Kańkowski Stanisł.  
 Kapuściok Tomasz, 1895 Kapuściok Paweł  
 Kaczmarek Zbign. 1913 Nikodemowicz Stan.  
 Karpiuk Helena Gutowski Józef  
 Karpowicz Kaz. 1905 Karpowicz Józef  
 Kasperska Janina, 1899 Steyer Donald  
 Kasperski Józef, 1910 Szober Józef  
 Kaszyński Józef, 1910 Kaszyński Józef, 1898  
 Kawski Stanisław (ojciec)  
 Kazowski Józef, Poznań ks. dr Paulus Witold  
 Keller Alicja, 1925 Byliński Tadeusz  
 Kellerman Witold, 1898 Skowronek Józef  
 Kelles-Krauze Jerzy Artemski Marian  
 Kępa Józef, Myślenice Prokopeczko Helena  
 Kiełb Tomasz, 1915 Kiełb Maria  
 Kiliszek Stanisław, 1920 Kiliszek Tadeusz  
 Kiszewski Konst. 1912 Koppas Stefan  
 Kipp Emil, 1908 Kipp Zofia

**Poszukujący:**  
 Kisiel Tadeusz, 1916  
 Kizielnicki Alfons, 1913—1915  
 Klamańska Aniela, ok. 44 lat,  
 z d. Cwiklińska  
 Kochański Franciszek  
 Kłoczek Stefan, 1920 Wróblewski Stefan  
 Kłoczek Józef Cz. 1900 ok. Klepaczek Zb.  
 Kleszyk Stanisław, 1915 Saska Teresa  
 Klimecki Stefan, 1912 Klimecki Władysław  
 Klimek Damazy, 1888, Złotów Klimek Lesz.  
 Klimek Jan, 1916 Kaczmarek Maria  
 Klimek Stanisław, 1918  
 Kloc-Kruczek Genowefa, 1921 Kloc Teodor  
 Knapik Teofil Olbrych Stanisław  
 Kochanowski Tom. 1927 Kochanowski Jan  
 Koleda Wiktor, 1905 Dygul Zbigniew  
 Kołodziejczyk Stefania Kołodziejczyk Wł.  
 Komorowski Ir. 1905, Łódź Kalińska Stef.  
 Konarzewski Stan. 1894 Machowicz Helena  
 Konopacka Jadwiga, 1900 Danecki Jan  
 Konopacki Paweł, 1915 Konopacki Leon  
 Kopydłowska Gerda, 1914 Kopydłowski Edward  
 Korzon Bronisław Wróblewski Stefan  
 Kosno Władysław, 1912 Jeruzal Kazimierz  
 Koszutska Maria, 1894, z d. Kulisz-  
 Bielańska Koszutski Mikołaj  
 Kotkowiak Bronisław, 1913 Kotkowiak Ant.  
 Kowalewska Gertr. 1905 Kowalewski Teod.  
 Kowalewska Łucja, córka Teodora, 1923  
 Kowalewski Teodor  
 Kowalska z d. Krechowicka Maria, 1912  
 Kowalski Adam Czesław  
 Kowalski Antoni, 1922 Jeruzal Kazimierz  
 Kowalski Sew. 1917—20, Lwów Skuta Mich.  
 Kowalski Zenon, 1913 Cyankiewicz Tomasz  
 Kowonia Helena, 1919 Sasak Stefan  
 Kozanecki Stan. 1917 Chmielowski Bogusł.  
 Kozłowska z d. Jaskurska Stanisława  
 Kozłowski Lucjan  
 Kozłowski Władysław  
 Krukowska Eugenia z d. Ołowińska  
 Krak Franciszek, 1896 Krak Antoni  
 Krak Ludwik, 1924, Chojnice  
 Krassowski Jan, 1905 Krassowski Kazimierz  
 Kropówna Teresa, 1926, córka Stefana  
 Kropówna Janina  
 Krupa Maksym, 1923 Musiżenko Zofia  
 Krupińska Leokadia Jagielski Jerzy  
 Krupski Aleksander, 1914 Sztulpa Wład.  
 Kruszwicki Czesław, 1909 Kwiatkowski Bol.  
 Krygier Helena, l. 36, Międzyb. Peluch Julian  
 Krygier Leokadia, 1930  
 Krygier Stanisł. 1926  
 Krześniowski Gabriel, 1917 Kópczyk  
 Krzyszkowski Tad. 1913 Krzyszkowski Stan.  
 Kubiszyn Marian Józef, 1917 Kubiszyn-Hupało Zofia  
 Kubiszyn Marian Józef, 1917  
 Bojanowska-Kubiszyn Stanisława  
 Kucharski Marian, ok. 1900 Blokus Bolesł.  
 Kuczkowski Jerzy, 1902  
 Przeździecka z d. Kuczkowska Jadwiga  
 Kukliński Stanisław, 1916 Kukliński Józef  
 Kulawik Jerzy, 1923, s. Ant. Czaplina Tomasz  
 Kulowa Jadwiga, 1920 Króliczek Wiktor  
 Kułakowski Marian, 1895 Kułakowska Zofia  
 Kułakowski Marian, 1895 Juzwa Eugenia  
 Kunstman Anna, 1901 Grabowska Danuta  
 Kurjata Adela, 1926 Kurjata Franciszek  
 Kurjata Stanisł. 1921  
 Kurkowski Korwin Jerzy, 1915  
 Woytkowski Bronisław  
 Kusalewicz Winc. 1928 Kusalewicz Julian  
 Kutalska Helena, 1923 Sawera Marian  
 Kutta Alfons, 1914 Kutta Franciszek  
 Kuźniar Bolesław, 1923 Kuźniar Tadeusz  
 Kwapiński Jan, W-wa Stefczyk Danuta, 1923  
 Kwiatkowska Maria, 1892, Sroda  
 Ordzińska Jadwiga  
 Kwiatkowski Zygmunt, 1912, Czoplin  
 Kwiatkowski Bolesław, 1920  
 Kwidziński Alfons, 1926 Kwidzińska Gertr.  
 Kwidziński Franc. 1911  
 Kycia Kazimierz, 1894 Kycia Marceli, 1896

Osoby, które odnajdą swe nazwiska w niniejszym Wykazie Nr 13 (Cz. I), zechcą zwrócić się listownie do Centrali Poszukiwań PCK (Polish Forces Middle East Nr 55), posługując się następującym wzorem pisma (można wyciąć, wypełnić i przesłać)

**Do CENTRALI POSZUKIWAŃ PCK NA ŚR. WSCH.**  
 Polish Forces Middle East Nr 55

1. Z Wykazu Nr 13 (Cz. I) Centrali Poszukiwań PCK, ogłoszonego w Nr 22 (66) „Parady”, dowiaduję się, że jestem poszukiwany (wypełnić literami drukowanymi)

Moje nazwisko, imię i ew. stopień.....

Rok i miejsce urodz..... Imiona rodziców.....

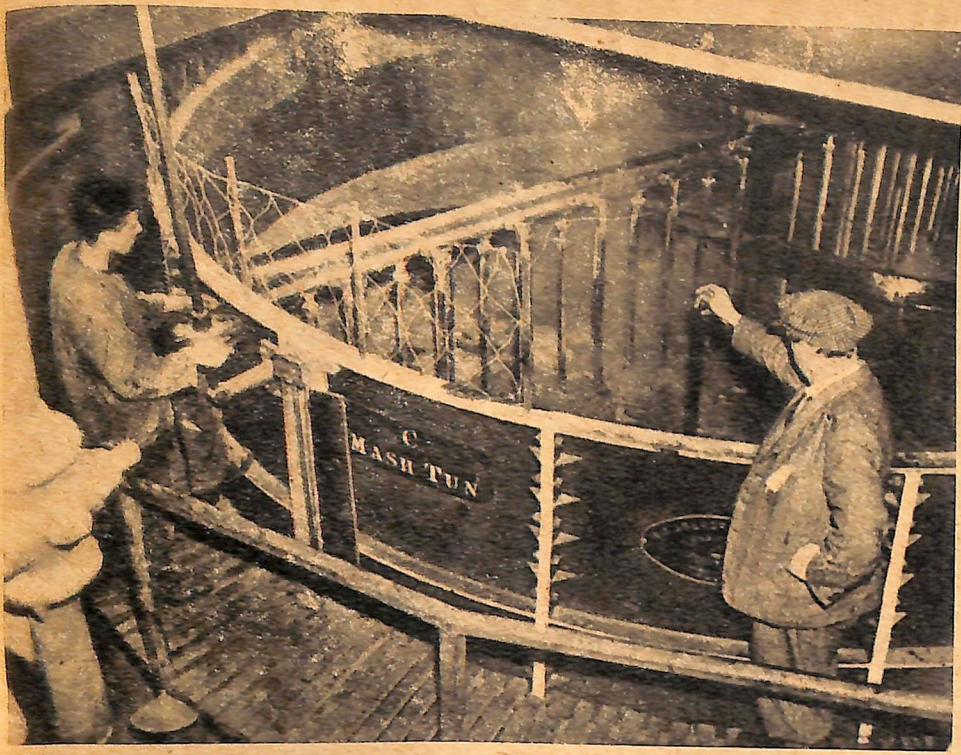
Mój adres.....

2. Jednocześnie załączam Postal Order wystawiony na imię: „Centrala Poszukiwań PCK” w wysokości..... sh (szylingów) tytułem dobrowolnej ofiary na rzecz akcji poszukiwań PCK.

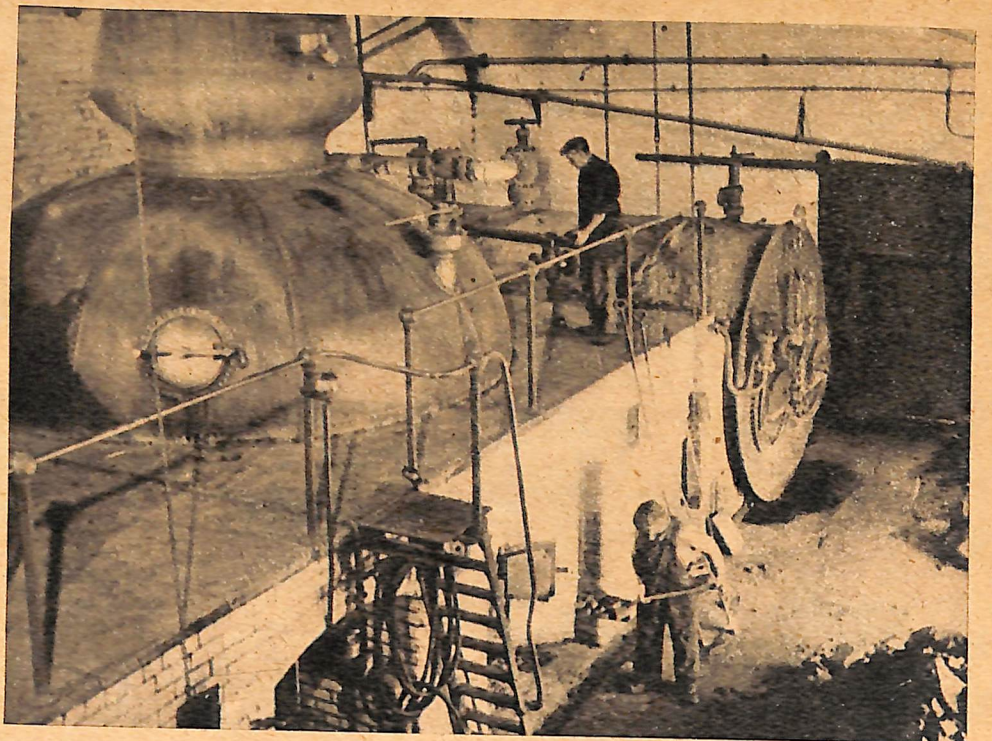
Data.....

Podpis.....

Adres Redakcji: „PARADA” Inter-Service Publications D-te G.H.Q., M.E.  
 Editorial address: „PARADA” Inter-Service Publications D-te G.H.Q., M.E.



Kadz dla osadu słodowego, służącego jako pokarm dla bydła



Starczyłoby na ugoszczenie dywizji... Miedziana retorta, w której odbywa się proces destylacyjny



Maszyna, automatycznie napełniająca butelki, wszystkie do jednakowego poziomu



Delikatne podniebienie... Znamca próbuje każdego gatunku

Selekcjonowana whisky, która posłuży do wytworzenia wyborowej mieszanki, przebywa w beczkach lat siedem



**WHISKY** — dla żołnierza atrakcyjna pozycja cotygodniowej NAAFI — należy do najważniejszych artykułów eksportowych Wielkiej Brytanii. Eksport szkockiej i irlandzkiej whisky wynosił w roku 1939 — 9.366.675 galonów (proof gallon = 3,79 litra) na ogólną sumę 12.718.663 funtów szterlingów; eksport innych gatunków whisky wynosił 1.145.132 galonów, na sumę — 789.928 funtów szterlingów.

W pierwszych trzech latach wojny do „suchej” Ameryki płynął ciągły strumień whisky. W zamian wracały do Anglii samoloty, działa, surowce. W następnych latach wywóz uległ znacznemu zmniejszeniu.

Obecnie przystąpiła Wielka Brytania do wzmożonej produkcji tego wysokoprocentowego towaru, przeznaczonego głównie na wywóz. Według przedwstępnych obliczeń, obecna produkcja whisky znacznie przekroczy rozmiary przedwojenne.

